

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

NUMER 67
ISSN 1427-8812

maj - czerwiec 2008
CENA 2 zł





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Stare przysłowie powiada, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. Oznacza to mniej więcej, że nasze dobre intencje czasem obracają się przeciw nam i przeciw tym, którym chcemy w jakiejś sprawie pomóc czy doradzić. Najczęściej w grę wchodzi przypadek, zbieg okoliczności, zaś teorię przypadków można zastosować do wszystkich dziedzin życia, ponieważ zbiegi okoliczności zdarzają się w każdym czasie i w każdym miejscu. Dobrze, że istnieją przypadki szczęśliwe a ich efekty okazują się pozytywne.

W listopadzie 1829 roku Adam Mickiewicz, przybyły niedawno do Rzymu, wynajął wraz z Antonim Edwardem Odyńcem nowe mieszkanie. Były to dwa umeblowane pokoiki na drugim (po wileńsku: na trzecim) piętrze kamienicy pod numerem 35 na via dell'Orso, niedaleko mostu św. Anioła. Mieszkanie było niezwykle tanie, ale okazało się zupełnie pozbawione ogrzewania, co obaj poeci mieli odczuć bardzo dotkliwie, gdyż zima 1829/30 okazała się wyjątkowo dokuczliwa. W lokalu tym obaj Litwini spędzić mieli kilka miesięcy, radząc sobie na różne sposoby. Odyniec co jakiś czas wybiegał na ulicę, żeby się rozgrzać, a w izbie trzymał nogi w wojskowym worku zapinanym powyżej kolan. Mickiewicz unikał chłodu kamiennej podłogi, siedząc po turecku na kanapie (czego nauczył się podczas podróży na Krym). Mickiewicz był znanym w Europie romantycznym poetą, ale jeszcze nie zasłużył na miano narodowego wieszca. Tylko nieodległy szczęśliwy wypadek miał pozwolić rozwinąć się jego wielkim talentom.

W pobliskim Palazzo Ferruzzi mieszkała dobra znajoma naszego Adama, jego wielbicielka i fanka, księżna Zeneida Wołkońska. Ta, z troską o zdrowie poetów, przysłała im któregoś dnia karbonellę. Jest to blacha żelazna na nóżkach, na której rozpała się węgle niczym w naszych samowarach - opisuje dar Odyniec. 3 stycznia 1830 r., gdy było nadzwyczaj zimno na dworze (i w domu), postawili karbonellę na środku pokoju, zamknęli drzwi do innych pomieszczeń i oddali się lubemu ciepłku. Wielką polską poezję romantyczną ocalił ks. Stanisław Parczewski (niech imię jego będzie błogosławione!). Gdyby nieco się spóźnił z wizytą, nie mielibyśmy w naszej literaturze ani „Dziadów” dreźnieńskich ani „Pana Tadeusza”. Czad bowiem nie wybiera ofiar według profesji, równie skutecznie dusząc wieszca, jak i grafomana. Przypadek. Z jednej strony dobre chęci księżnej Wołkońskiej, która chciała umilić Polakom pobyt w zimowym Rzymie, z drugiej - szczęśliwy zbieg okoliczności, że książd Parczewski nie czekał ze swoją wizytą choćby tylko godzinę dłużej.

Każdy z nas byłby pewnie w stanie wymienić ciąg przypadków, z powodu których znalazł się w tym a nie innym miejscu życia. W teorię przypadków nie należy jednak ślepo wierzyć. Należy wierzyć w pracę, w ciągłość wysiłków podejmowanych dla wspólnego dobra. W stałość i w niezmiennność naszego świata. W to, że po nocy następuje dzień a po zimie przychodzi wiosna. Jeśli już wierzymy w przypadki, to wiermy tylko w takie, które w konsekwencji okażą się dla nas korzystne, pozytywne i dobre. Jeśli piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami, szczęśliwe i dobre dla nas przypadki na pewno tam się nie znajdują. Raczej spodziewajmy się ich w rejonach niebieskich. I o to chodzi. Miejmy nadzieję. Wiosna, lato to dobry czas, żeby budzić w sobie nadzieję. Nieustannie budzić nadzieję.

Marian Piotr Rawinis

Magiczne motocykle i ...

Z artystką Elżbietą Chodorowską rozmawia Janusz Mielczarek

Elżbieto, co było pierwsze: twórczość czy motocykle?

Motocykle. Jeszcze przed urodzeniem. Brzmi to dziwne, ale moi rodzice stanowili parę spędzającą wiele czasu na motocyklu. Był on wówczas w miarę dostępnym środkiem lokomocji i bardzo pomagał w dojazdach do pracy oraz w załatwianiu innych, bieżących spraw. Mojej rodzinie służył także do wypadów rekreacyjnych, a przede wszystkim do brania udziału w przeróżnych zlotach i zjazdach motocyklowych, których rodzice byli namiennymi uczestnikami, również w czasie, gdy ja już „byłam w drodze”.

Zamiast w dziecięcym wózku wożono Cię na motocyklu?

Jako dziecko miałam, oczywiście, wózek, ale motocykl także. Usadowioną na baku motocykla, tato zawoził mnie i przywoził z przedszkola. Dzisiaj byłoby to niemożliwe ze względu na duży ruch na drogach oraz przepisy, ale wówczas, wystawiając buzię na powiew wiatru, mogłam przeglądać się w niklowaniach i lakierach pojazdu. I tak codziennie. Czułam się też na swój sposób ważna i dumna, że nie wszystkie dzieci mają rodziców z motocyklami i taką frajdę z jazdy jak ja. Nikt nie przypuszczał wtedy, że moje odbicia, oglądane w połyskujących częściach motocykla, powrócą w dorosłym życiu i będą miały na nie tak istotny wpływ. Nie rozumiałam tajemniczy poruszania się pojazdów, których dotykałam, podziwiałam i uważałam za bliskie, ale one wówczas tworzyły mój dziecięcy, magiczny i bajkowy mikrokosmos, który wciąż jest we mnie. Teraz już wiesz, dlaczego w mojej twórczości tak wiele miejsca zajmuje metal i jego przetworzenia.

Tak więc jeszcze przed urodzeniem losujemy swoje przeznaczenie. Twoim, szczęśliwym, była „nawiedzona” motocyklowo rodzina.

Jako nastolatka jeździłam z bratem na zloty motocyklowe. Mieszkaliśmy w Klomnicach, około 20 km od Częstochowy. Byliśmy uczniami Liceum Plastycznego i bywało, że do szkoły również jeździliśmy motocyklem. Liceum miało wówczas siedzibę w Al. Najświętszej Marii Panny, w budynku sióstr Zmartwychwstańek, które często wkurzały się, gdy przez wąskie drzwi furty wjeżdżaliśmy na niewielkie podwórko warczącym potworem.

W końcu lat 50. i w 60. wędrowałam wiele po Polsce skuterami i motocyklami, nie bez przygód. Gdybym dzisiaj miał na to warunki, to ekshumowałbym, śrubka po śrubce, jakiegoś dwukółowca sprzed lat, tylko po to, aby mu się potem przyglądać, czasem przepolerować i okazjonalnie pojeździć. Czy mechanikiem też jesteś?

Nie, ale bardzo interesują mnie części motocyklowe jako obiekty plastyczne. One zawsze były w domu, w różnych miejscach, a ja lubiłam je dotykać i oglądać. Podziwiałam brata, który wie, jak je ze sobą połączyć, dopasować, aby z bezużytecznych rupiec stworzyć od nowa piękną, szalającą maszynę.



Fot. Janusz Mielczarek

Obserwując Twoje niezwykle rzeźby, wiedziałem od pierwszej chwili, że motocykle „garażują” w Tobie, czujesz je, słyszysz i kochasz. Takich rzeczy nie stworzy osoba, której związek z tego rodzaju maszynami jest powierzchowny, spowodowany chwilową modą czy koniunkturą. Jak reagowała publiczność na Twoje motocyklowe tematy?

Dotychczas największą wystawę miałam w 2003 roku w Muzeum w Częstochowie, gdzie w trzech salach pomieściłam bardzo różne prace z tkaniny, metalu i skóry. Większość miała charakter motocyklowy. Żeby je zaprezentować, pracowałam solidnie przez dwa lata, ale było to spełnienie mojego marzenia, radość moich twórczych wyborów, a dobry odbiór publiczności spowodował, że przez chwilę poczułam się prawie jak „mistrzyni świata”. Kolejną indywidualną wystawę miałam w Krakowie, w Galerii „Przymat”, w roku 2007. Pokazałam tam również nowe rzeźby o charakterze motocyklowym. Wywołałam nimi spore zaskoczenie wernisażowych gości, ale w efekcie publiczność z sympatią przyjęła „artystkę-motocyklistkę”.

Profesjonalizmem objawia się nie w upoważniającego od niego tytułach, ale w sposobie realizacji tego, co robimy.

W mojej twórczości muszę być perfekcyjna. Tak prozaiczna czynność jak szycie - a w rzeźbach łączę poszczególne części materiału ręcznie - musi być wykonana bezbłędnie. Bo w nich droga prowadzenia nici, jej kolor i grubość, ma takie samo znaczenie, jak ruch dłuta u rzeźbiącego w drewnie czy kamieniu. Tropiąc językiem sztuki moje fascynacje

człowiekiem, cztery lata temu uszyłam pierwszą rzeźbę – głowę. Choć nie spełniła moich oczekiwań, brnęłam dalej. Niedosyt zmuszał do poszukiwań. Chciałam, aby rzeźby wyrażały przeżycia i nastroje tak różne, jak to jest u ludzi. Tak bardzo zafrapowała mnie zmienność ich wizerunków, ich psychologia, że głów powstało... pięćdziesiąt! Ponieważ jedną tworzy się około tygodnia, byłam tym...

Nieźle zakreślona.

Tak, bo twórczość rodzi się z przeżyć, które cię pochłaniają. Tylko wówczas czerpiesz siły z tego jedyne, nadzwyczajnego, nie każdemu dostępnego źródła energii.

Głowy były atrakcyjne w formie, fakturze i fabule, ale nie zdobyły takiej popularności jak „wierni kinomani”, rezydujący przez jakiś czas w holu Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, a obecnie piętro wyżej, w sali Ośrodka Kultury Filmowej.

Bardzo ucieszyła mnie propozycja dyrektora MGS, Czesława Tarczyńskiego, aby zrealizować dla OKF takie postacie. Ale po euforii i szybkim powstaniu projektu nastąpiły trzy miesiące trudnej pracy, nie tylko mojej, ale praktycznie całej mojej rodziny. Na pięciu kinomanów, którzy – mam nadzieję – są dobrymi towarzyszami przebywających w kinie widzów, składały się setki prozaicznych czynności. Przede wszystkim, niezbędny był stabilny stelaż z drewna, drutu i metalu, aby mógł w pozycji nadanej postaci utrzymać całą resztę, składającą się z kilku warstw różnych materiałów. Tkaniny musiały mieć kolory wynikające z projektu i być dostosowane do wnętrza. Często farbowaliśmy je wielokrotnie, a suszyły się, zajmując całe podwórko. W niemałym domu moich rodziców życie zdominowane było przez tych panów, bez względu na to, czy któryś był jeszcze w częściach, czy stanowił już bardziej odziane indywidualium. Przez trzy miesiące nikt nas nie mógł odwiedzić, bo każdy skrawek domu okupowali kinomani. Żeby dom mógł funkcjonować z niezbedną, prozaiczną stroną życia jego mieszkańców, trzeba było wieczorem przenosić kinomanów w inne miejsca. Rano wracali na swoje pozycje. Mieli też imiona. W trakcie pracy wołaliśmy często do siebie: „podaj górę Profesora”, „popraw Dominikowi głowę”, albo – „dokręć Mateuszowi śruby w kolanie”. Ta ważna dla mnie realizacja - ponieważ rzeźby funkcjonują na co dzień wśród ludzi – była możliwa dzięki fantastycznym, pomagającym mi rodzicom.

Kinomanów polubiliśmy, bywając w Miejskiej Galerii Sztuki. Po pierwszych zaskoczeniach, w rodzaju: „co tu robisz ci facceci?”, „traktowano ich przyjaźnie. Jeden z moich przyjaciół w początkach ich galerijnego bytu odruchowo im się kłaniał. Niejednokrotnie byłem świadkiem robienia przy nich pamiętkowych fotek. To duża radość dla autora. Kinomanom dobrze jest w kinowej sali: czasem ktoś się z nimi przywita, inny poklepie przyjaźnie, a znam panią, która przysnęła w czasie seansu na ramieniu jednego z nich. Porozmawiajmy teraz o Twoim malarstwie.

Podobnie jak w życiu, także w twórczości intuicja jest dla mnie najważniejszym radarem działania. Eksperymentuję. Nakładam na płótno kolejne warstwy farby, przyklejam tkaninę, blachę, papier, skórę, ponownie pokrywam to farbą. Często później zrywam jakieś fragmenty, aby odkryć historię jego tworzenia. Maluję rękami, kawałkiem



Fot. Janusz Mielczarek

drewna, metalem, bezpośrednio z tuby. Cały czas utrzymuję bliski kontakt z tym, co powstaje, prowadzę dialog aż do momentu, gdy stajemy się jednością. Obrazy to także poszukiwanie odpowiedzi dotyczących upływu czasu, sensu egzystencji, wartości i całej rzeki innych, trudnych pytań.

Zdarzają się chwile zwątpienia?

Rzadko. Jeśli mnie nachodzą, to w momentach pracowania.

W swoich rzeźbach - obiektach łączysz subtelność tkanin, siłę skóry z nieustępliwością metalu, co dla mnie, humanisty ze sporym skrzywieniem technicznym, jest wyjątkowo bliskie. Więcej - fascynujące!

Tkanina to takie samo tworzywo, jak kamień czy drewno. Nic nie może dziać się przypadkowo. Łącznie jej delikatności z często brutalną powierzchnią i stanowczą formą metalu jest metaforą zmagania człowieka z losem, z siłami materii. Obserwuję wchłanianie i odbijanie światła przez różne powierzchnie, przeważnie łączę je kontrastowo dla wywołania zamierzonego efektu. Uwielbiam szybkie smakowanie zrodzonego pomysłu, niemal natychmiastowe działanie. To jest przecież mój prywatny świat niepokoїв, wzruszeń, lęków i radości, którymi chcę się podzielić i zaprzyjaźnić ze światem ludzi akceptujących moją sztukę. Bo to jest przecież ta lepsza strona naszej egzystencji.



Fot. Janusz Mielczarek

Wprawdzie „papier” nie daje patentu na bycie artystą, ale jeszcze niedawno, aby stać się członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, trzeba go było zdobywać przed specjalną komisją. Stawałaś przed takim gremium w 2004 roku, podobno było ciekawie.

Na pewno z przygodami. Na spotkanie do Katowic jechałam autem z wprowadzającą mnie Krystyną Szwałkowską i zestawem prac do prezentacji. W połowie drogi auto dostało zadyszki i ledwie się wlokło. Dziesięć minut przed umówioną godziną dotarliśmy do siedziby komisji i auto zdechło na amen. Zestresowana, ale „umundurowana motocyklowo” w skórę z naszymi na niej numerami rejestracyjnymi pojazdów, zaprezentowałam się szanownej komisji wśród rozwieszonych naprędce tkanin o tematyce motocyklowej. Przyjęte to zostało z zycziwą aprobatą, a we mnie dostrzeżono kobietę tworzącą w zupełnie niekobiecej tematyce. Profesor podsumowujący moje skomplikowane entrée powiedział: „niech pani nikogo nie słucha, niech pani tylko robi to, co lubi najbardziej”. I w ten sposób otrzymałam maksymalną ilość punktów.

Masz dorastające córki. Jak widzą i oceniają Twoje artystyczne pasje?

One są wspaniałe, cudowne. Wyrastały w atmosferze sztuki, rozumieją to, co robię. Wspierają mamę na różne sposoby, inspirują. Olga uczy się gry na gitarze w gimnazjum muzycznym, Ula jest uczennicą Liceum Plastycznego. Pożycie mi do cyklu „pokonana”, jest bardzo twórcza, zaskakuje propozycjami.

Kilka miesięcy temu, na wystawie po częstochowskim plenerze miejskim wśród innych prac były także Twoje trzy

rzeźby – postaci naturalnej wielkości wykonane z tkaniny połączonej z metalem. Są perfekcyjnie wykonane, łagodne i przyjazne. Żalowałam, że po ekspozycji odeszły w „niebył pracowni”, zamiast wnosić atrakcyjny wątek do klimatu któregoś z częstochowskich wnętrz publicznych, podobnie jak to robią „kinomani” w OKF. Może znajdzie się dla nich miejsce w Filharmonii, w Cinema City, w Muzeum, we wnętrzu Teatru? Może ich obecność tam stanie się jednym z wyróżników ważnych obiektów naszego miasta. Żyjemy w natłoku informacyjnej tandety, dlatego poszukiwanie znaków niepowtarzalnych, oryginalnych, a takimi są Twoje rzeźby, jest podwójnie cenne. Dyrektor Czesław Tarczyński dał dobry przykład.

W mojej pracowni jest dla nich dobre miejsce, ale stworzone zostały z myślą o przebywaniu między ludźmi.

Po śmierci Niemena z misternie połączonych kawałków tkaniny zrobiłaś jego portret dużych rozmiarów.

Kocham muzykę Niemena. W mojej pracowni stoi stary analogowy adapter, na którym odtwarzam wciąż od nowa zdarte już niemiłosiernie płyty z jego muzyką.

Sprezentuję ci krążki w lepszym stanie.

Dziękuję, na tych jest dodatkowo dźwięk pracowni. To szumy spowodowane przez pyły z używanych przeze mnie sprayów, które na nich osiadły. Portret Niemena postanowiłam zrobić, gdy dowiedziałam się o jego śmierci. To jedna z prac tworzonych pod wpływem wzruszenia i grozy nieodwracalności losu. Poświęciłam mu wiele pracy.

Znając częstochowskich wielbicieli Niemena, sądzę, że wkrótce go stracisz. Powiedz mi, skąd się wzięły w Twojej pracowni uroczne, kwieciste patchworki, zupełnie niepodobne do tego, co robisz.



Fot. Janusz Mielczarek



Fot. Janusz Mielczarek

To prace mojej wspaniałej babci, która była niesłychanie pogodną i życzliwą ludziami osobą. Odwiedzając nasz dom, nigdy nie mogła zagrać w nim dłuższej miejsca. Boleliśmy nad tym, bo bardzo ją kochaliśmy. Sekret jej szybkich powrotów i spraw, które miała do załatwienia w swoim domu, to była pasja tworzenia. Babcia malowała obrazy i wyszywała te bajecznie kwieciste tkaniny, tak samo kolorystycznie ciepłe, jak była ona. Czyniła to dla najważniejszego odbiorcy – jej samej.

Powinnaś je wykorzystać przy okazji którejś z wystaw.

Zrobię to.

Skończyłaś studia w Instytucie Wychowania Plastycznego ówczesnej WSP w Częstochowie. Niegdyś, chcąc się z Tobą skontaktować, odnalazłem Cię w Krakowie.

Studuję tam na Akademii Sztuk Pięknych. Jestem na ostatnim roku i przygotowuję się do obrony pracy dyplomowej z tkaniny i malarstwa. Aktualnie tworzę kilka obiektów z tym związanych. Robię dużo fotografii. Jak wspomniałam, pomaga mi w tym córka jako model. Jest przy tej pracy bardzo skupiona i często wyprzedza moje myślenie. To jest akurat ta dobra strona dwoistości ról kobiety matki i kobiety twórcy, ale bywa różnie. Jednak w moim przypadku od początku wiedziałam, na co się decyduję.

Jest jeszcze Elżbieta – motocyklistka...

Nie zapominam, to ważne źródło mojej inspiracji.

Wielu artystów w tych czasach tempa i bylejałości wybiera drogę na skróty. Ma być łatwo, lekko i przyjemnie, a przydałyby się jeszcze jakoweś skandale. Ty układasz swoje klocki inaczej, prawie z mazołem.

To jest mój wybór. Wierzę, że najlepszy, choć wiążący się z pracą bez taryfy ulgowej. Ale nie liczę godzin, bo pasji nie programuje się na dniówki i fajranty, nie spełni się jej, zerkając ukradkiem na zegar. Przy każdej okazji obserwuję ludzi, to niesłychanie wciągające. Jedni nam, a my innym ilustrujemy swoimi stanami ducha, wyglądem, zachowaniem, gestem odwieczne tajemnice bytu i przemijania. Te obserwacje rodzą pomysły twórcze transponowane potem na formy plastyczne i materializowane w zastosowanych tworzywach. Zderzenia kontrastów: człowiek – maszyna bądź człowiek – metal, często podsuwają frapujące rozwiązania. Tworzące nas: zmysłowość, cielesność, miłość, osamotnienie nakładają się na nasz wizerunek warstwami, a każda zbudowana jest z innej materii, inna ma barwę i przejrzystość. Dotrzeć i sięgnąć skrawka ukrytej w nas tajemnicy jest szczęściem artysty, ale umiść opowiedzieć o tym – sztuką spełnienia. Rozumiesz to i czujesz, uprawiając dziedzinę wizualną – fotografię, oraz tę, sięgającą kilka warstw głębiej – literaturę. Sztuka to dla mnie otwarta przestrzeń, wolność, drażnienie tajemnic i projekcja marzeń. Wciąż czuję się na początku mojej drogi twórczej i dlatego prawdę o niej tak gorątkowo staram się badać wszystkimi zmysłami.

Dziękuję za rozmowę.

Janusz Mielczarek

Truchcikiem po galeriach

Adam Rokowski przedstawił swoje „Zwykłe malarstwo” w Miejskiej Galerii Sztuki. Ta kameralna wystawa absolwenta Instytutu Plastyki WSP w Częstochowie (2002) zawiera w sobie kilka interesujących, wyciszonych monochromatycznych kompozycji, opartych o zróżnicowane światłocieniowo i tonalnie biele, błękity i ugry. Idea prostoty i zwyczajności, malowania pospolitych, choć niebanalnych rzeczy prowadzi młodego artystę do konsekwentnych ascetycznych wyborów w posługiwaniu się zarówno kolorem, jak i formą przedmiotową. Otwarte układy kompozycyjne z wyraźnym podziałem horyzontalnym na dół i górę, bądź koncentrujące się na malarskim modelowaniu draperii, próbują ewokować metafizyczne i egzystencjalne treści. Są te obrazy wyrazem spokoju i milczącego trwania.

Także w MGS można było zobaczyć interesujący pokaz **Aleksandry Banek** i jej córki **Joanny**. „Struktury rzeczywistości”, bo tak obie panie nazwały tę prezentację, zostały w sposób zawodowy zaaranżowane. Czysto i precyzyjnie wykreowana przestrzeń wystawy stała się jej wartości artystyczną samą w sobie. Prace właściwie wyeksponowane tworzą bez wątplenia żywą, dynamiczną strukturę wystawienniczą. Już dawno w MGS nie było tak klarownej i z wycuciem scenograficznym przygotowanej ekspozycji. Prace Aleksandry Banek są jak zwykle interesujące od metaforycznej i warsztatowej strony. Pokazują również wytrwały upór artystki w stylistycznej niezmienności w obrazowaniu i przenikaniu się przestrzeni świata wyobrazonego i rzeczywistego. Pewne elementy i sposoby obrazowania artystki, choć czasami dalekie od poszukiwania płaszczyznowego efektu, nasuwają skojarzenia z twórczością Józefa Gielniaka i jego strukturalnym i graficznym podejściem do kompozycji dzieła. Prace Aleksandry Banek emanują również kosmiczną energią, wypracowaniem wewnętrznego pulsującego rytmu. Ważność rytmu w podziałach przestrzennych i płaszczyznowych można zaobserwować w tkaninach oraz obrazach malarskich Joanny Banek. Są one mniej organiczne, bardziej zgeometryzowane, inaczej „ponapinane” i zorganizowane. Joanna Banek rzeczowo posługuje się symboliką koloru, zwłaszcza w tkaninie. Wypracowuje syntetyczne znaki artykułując również symboliczne treści. Świadczą o tym ty-

tuły większości eksponatów, np. „Drzewo życia” czy „Burza i grom” albo „Drugie ja”.



„Obszar intymny” **Kingi Nowak, Agnieszki Sandomierz, Małgorzaty Wielek-Mandrel**i, to tytuł wystawy w MGS autorstwa komisarza Barbary Major. Trzy młode malarki, urodzone pod koniec lat siedemdziesiątych, łączy nie tylko pokoleniowa więź, ale również chęć opowiadania o swoim życiu, snach, miłościach, własnej płci, seksie, wcielaniu się w życiowe role. Również poznanie poprzez sztukę zbliża istotnie te feminizujące malarki. Kinga Nowak jest nostalgiczna, nastrojowa, choć czasami w swoim malarstwie pokazuje atawistyczne zachowania rodem z twórczości Francisca Bacona, np. „Szczęki” (2003). Agnieszka Sandomierz, wcześniej pokazywana na wystawie w MGS, bardzo zainteresowana jest seksualnością człowieka, a zwłaszcza problemem samozaspokajania się, co z lekką teatralizacją, poszukując malarzkiej sceny dla tych praktyk. Małgorzata Wielek-Mandrela ciągle natomiast przywołuje obrazy z krainy snu, podwajanie, potrącanie osobowości, nawarstwianie się fantomów codziennych rekwizytów czy pamięciowych znaków, czemu daje wyraz w „Szóstym śnie Oliwii” (2004), czy „Czwartym śnie Małgorzaty” (2005). Wystawa warta zobaczenia.

W MGS w kwietniu roku można było oglądać „Sztukę współczesną w krajobrazie Jeziora Bodeńskiego i Górnej Szwabii”, przygotowaną przez Galerię Powiatu Bodeńskiego z eksponatów będących jej własnością. Kolekcja ta, pokazana w pewnym wyborze w Częstochowie, pod względem artystycznym jest interesująca, różnorodna i zawiera dzieła od końca lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Przywieziono prace 46 artystów. Miejska Galeria w rewanżu wysłała do Galerii Bodeńskiej w Meersburgu wystawę problemową pt. „Ślady – dotyk czasu”, w której niestety prezentuje się tylko czterech artystów związanych z naszym miastem: A. Patrzyk, A. Półrola-Koćwin, W. Prazmowski, B. Szyć. Myślę, że sztuka dotykająca znaczenia czasu w naszej egzystencji i w obszarze samej sztuki powstaje w wielu częstochowskich pracowniach. Wystarczy podać kilka nazwisk: A. Desperak, J. Kędziora, W. Kulej, Jacek Sztuka, J. Winiszewska, Z. Żmudziński czy obecnie R. Głowacki, T. Musiał, Z. Windak. Pokazywanie malarstwa, np. Tadeusza Boruty w różnych konfiguracjach nie jest bardzo odkrywcze. Natomiast wiedza o tym, co tworzą artyści związani z Częstochową i prezentacja tej twórczości, zwłaszcza za granicą, powinna być dla dyrekcji i rady programowej MGS priorytetowa. Wracając do niemieckiej kolekcji i jej prezentacji, to bez wątpienia warto było zwrócić uwagę na kilka dzieł, np. na pracę malarzką Hansa Breinlingera z 1958 roku, grafiki Lui Schaugg (2003), rysunek „Zapis dźwięku” Diethera Domesa (2007), „Uczętę z apostołami Dürera” Jana Petera Thorbecka (1974) czy „Wzgórze” Harry Meyera (2005). Aranżacja wystawy nie rzucała na kolana – popełniono oczywisty błąd, nie zamykając jej kompozycji przy przejściu z sali do sali.

Również w MGS w ramach VI Dni Książki „Literatura Miasto” pokazano prace dwóch wybitnych artystów ilustratorów książkowych, **prof. Janusza Stannego** i **prof. Zdzisława Witwickiego**, obu z warszawskiej ASP. Ilustracje Stannego są bardziej dla dorosłych, więcej w nich grafiki niż malarstwa. Artysta świetnie rysuje i kreuje zoomorficzne postacie z bajek La Fontaine’a, Goethego i Kryłowa. Dla odmiany nastroju prezentacji Stanny pokazał długą serię malarskich prac z Katedrą we Fromborku w roli głównej. Są to kameralne dziełka o dużej kulturze malarskiej.

Prace Witwickiego są wyjątkowo mocno kolorowe i bardziej dla dzieci. Ilustrują różne bajki i baśnie,

od „Wróbelka Elemelka” po „Brzydkie kaczątko”. Zwykle wyrafinowane kompozycyjnie, pokazują działanie się na różnych planach, są w większości opisowe, choć czasami również metaforyczne, oczarowuje nas ich radosna malarskość, dowcip i trochę groteski. Ilustracje podobały się również dorosłym, którzy ustawili się w długiej kolejce po autograf w katalogu do wystawy.

1 maja w Ratuszu/Muzeum Częstochowskim odbył się wernisaż wystawy malarstwa **Stanisława Rodzińskiego**, znakomitego krakowskiego malarza, rektora tamtejszej uczelni w latach 1996-2002, uczestnika Ruchu Kultury Niezależnej 1981-1989, autora wielu artykułów o sztuce, publikowanych w „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”, „Więzi”, „Kulturze” paryskiej, „Odrze”, „Ethosie”, „Projekcie”, „Sztuce Sakralnej”, „Horyzontach wychowania”, „Dzienniku



Polskim”, oraz książek zawierających teksty o sztuce „Sztuka na co dzień i od święta” (Wyd. Byblos, 1999), „Obrazy czasu” (Wyd. Gaudium, Lublin, 2001), i w tym samym wydawnictwie „Mój szkieletownik” (2005).

Obrazy Rodzińskiego mają różne inspiracje, są jakby zapisywaniem kart pamiętnika, można w nich odnaleźć echa lektur, słuchanej muzyki, spotkań z ludźmi, wspomnienia, podpatrywane obrazy w muzeach i na wystawach. Jak mówi sam artysta, na po-

czątku jego działań malarskich jest wzruszenie. Podejmuje różne motywy religijne, również poprzez pejzaż, potrafi przekazać transcendentne wartości sacrum w sztuce. Na wystawie można zobaczyć szereg znakomitych obrazów, także tych, które są twórczą rozmową z Rembrandtem, Rouautem, Braque'm, Czapskim czy Van Goghem. Wystawa była prezentowana w ramach 18. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Wystawę i katalog do niej przygotowała krakowska galeria „Labirynt”.

4 maja w Galerii OPK „Gaude Mater” odbył się wernisaż wystawy „**Dekalog w obrazach**”, przygotowanej specjalnie na 18. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej. Wystawa ta powstała z kolekcji obrazów będącej w posiadaniu Galerii „Hortar” Janusza Kopczyńskiego z Tarnowa. Wystawa jest różnorodna, tak jak jej autorzy, i jak różnorodnie wybrzmiewają słowa, zdania, treści Dekalogu. Prezentują w pojedynczych obrazach-przykazaniach swój kunszt malarski, jak również swoje myślenie w interpretowaniu aksjomatów wiary wybitni polscy malarze. W kolejności i do następujących po sobie przykazań eksponują swoje kompozycje: Paweł Taranczewski, Bogdan Klechowski, Tadeusz Boruta, Stanisław Rodziński, Marek Sapetto, Stanisław Baj, Grzegorz Wnęć, Katarzyna Cwynar, Franciszek Małuszczak, Małgorzata Hołówka. Wystawa ze wszech miar pouczająca i warta zobaczenia.

„**Mistrz i uczniowie. Pracownia Profesora Leszka Misiaka**” - to tytuł wystawy, którą można było oglądać w kwietniu i maju w Muzeum w Częstochowie przy ulicy Katedralnej. Koncepcja cyklu wystaw „Mistrz i uczniowie” autorstwa prof. Romana Łaciaka, a której kuratorem jest prof. Zbigniew Bajek, powstała w ASP w Krakowie. Z wycuciem przestrzeni przygotowana ekspozycja prezentuje prace 30 autorów, studentów pracowni malarstwa nr 5 oraz prowadzących w niej zajęcia prof. Leszka Misiaka i jego asystenta Rafała Borcza. Na wernisażu wystawy, na który tłumnie przybyli studenci Akademii Jana Długosza i Liceum Plastycznego, a który otworzył prof. Jarosław Kweclich, dziekan Wydziału Wychowania Artystycznego, prof. Leszek Misiak w krótkim esencjonalnym wykładzie przedstawił założenia programowe swojej pracowni i tradycje nauczania na Wydziale Malarstwa krakowskiej ASP. Było to bardzo potrzebne entrée

dla tej pełnej różnorodnych, choć bardzo osobistych wypowiedzi malarskich młodych adeptów sztuki. Na wystawie znalazły się również prace Anny Pietrzak i Moniki Sawionek, które ukończyły wcześniej Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Częstochowie, a teraz studiują w Krakowie.



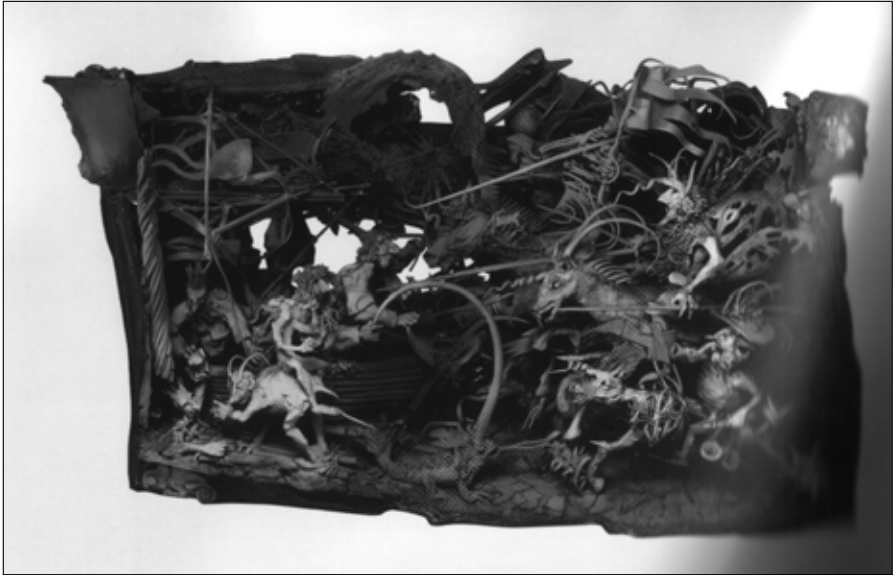
Tadeusz Rzeźnik w Galerii OPK „Gaude Mater” pokazał ponad dwadzieścia nowych prac malarskich, jakby okien do swojej wyobraźni. Można było podglądać różnorodnie sceny bardziej lub mniej rozbudowane, ze swoimi aktorami w postaci form przedmiotowych czy antropomorficznych. Interesujący był „Elektryczny pejzaż”, „Wentylator”, „Instalacja”, „Oko”, „Sprężyna” czy „Anioł z żelaza”. Wszystkie prace zostały namalowane na jednym formacie płótna. Trochę to szkolne podejście, bo okna powinny być różne, jak bogata jest nasza wyobraźnia.



IV Plener Artystyczny „**Hi-Tech Art 2008 – Sztuka Zaawansowanych Technologii**” zorganizowała ISD Huta Częstochowa. Dwudziestu dziewięciu artystów poprowadził po gorących i groźnych halach huty komisarz wystawy Mariusz Chrząstek. Pokłosem

pleneru jest wiele interesujących prac zrealizowanych w różnych technikach, od olejnych po gwaśne i pastele, fotografie i rzeźby, odbitki graficzne, a nawet pokaz stereoskopowy. Tak więc było co oglądać. Największe zainteresowanie wśród publiczności wzbudził współczesny fotoplastykon –

maszyna do widzenia trójwymiarowych fotografii, przygotowany przez Grzegorza Banaszkiwicza. Zwracały także uwagę prace Joli Jastrzab, Marii Ogłazy, Jacka Sztuki, Roberta Sękiewicza, Katarzyny Winczek, Anny Wawrykowicz-Żakowicz, mocne i energetyczne w wyrazie.



W Konduktorowni w kwietniu i maju częstochowska Zachęta zaprezentowała twórczość **Kazimierza Kalkowskiego**, znakomitego gdańskiego ceramika, malarza i rysownika, człowieka o poetyckiej naturze. Kalkowski jako młody adept sztuki przyjechał do Częstochowy pod koniec lat sześćdziesiątych, by uczyć się w „Plastyku” ceramiki. Przez dwa lata skutecznie jednak zniechęcał do siebie dyrektorkę-polonistkę, by ukończyć szkołę plastyczną gdzie indziej. Wyższe studia odbył na obecnej gdańskiej ASP (dyplom 1981) w pracowni prof. Kazimierza Ostrowskiego.

Kalkowski jest ceramicznym geniuszem. Pracuje w porcelanie, upodobał sobie rzeźbę w tym trudnym materiale, a to co z niego komponuje, zachwyca ludzi na całym świecie. Potrafi w swych ceramicznych arcydziełach harmonicznie połączyć talent rzeźbiarza, malarza i rysownika, uzyskując pewną teatralno-groteskowo-poetycką wizję naszej rzeczywistości, nabudowaną z wielu kształtów, komuni-

katów. Wszystkie literackie wątki czy postaci, a jest ich w jego jednym dziele bardzo dużo, są jakby zatrzymane w ruchu. Zobaczone przy tym w swoistym krzywym zwierciadle świata zbudowanego na różnych poziomach, świata pozornego chaosu, który wewnętrznie pulsuje. Umiera, ale ciągle też kielkuje, odradza się w jakiejś totalnej karykaturalnej, groteskowej wersji. Deformacje Kalkowskiego, tworzące antropo- i zoomorficzne kształty, nasuwają skojarzenie z postaciami rodem z twórczości Bosch'a, Brueghla, Goi czy Daumiera. Świat według Kalkowskiego jest kaleki, pomniejszony, persyflażowy, groteskowy, śmieszny, ale też groźny. Przez nagromadzenie form staje się też po prostu tragiczny. Jest światem, w którym jeszcze da się żyć, ale co to za życie, kiedy co chwila wpadamy na śmietnik naszych wytworów, niecnych myśli, fałszywych uczuć i wszelakich cywilizacyjnych i kulturowych śmieci.

Marian Panek

„Gaude Mater”

XVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” obfitował w szereg znakomitych i barwnych koncertów, spektakli i wernisarzy. Wystąpili artyści z wielu krajów, którzy prezentowali muzykę religijną nam bliską i tę bardziej egzotyczną. Mogliśmy więc słuchać i odnajdywać Absolut przy dźwiękach muzyki żydowskiej, muzułmańskiej i chrześcijańskiej różnych wyznań. Wsłuchiwaaliśmy się w piękne głosy prawosławia i ascetycznego protestantyzmu, by poznać następnie żywiołowość muzyki gospel, która była jedyną nadzieją dla czarnoskórych niewolników i żarliwość żydowskiego kantora, śpiewającego Dawidowe psalmy wielbiące Wiekuiściego. Wszystko to odbywało się pod hasłem dialogu pomiędzy religiami i kulturami narodów.



Fot. Leszek Pilichowski

FESTIWAL



Fot. Zbigniew Burda

Drzewa, drzewa...

Władysław Ratusiński

Tegoroczna procesja Bożego Ciała odbywała się w wiosennej scenerii kwitnących kasztanowców. Jak mizernie i smutno wyglądałby ołtarz przed kościołem św. Jakuba, gdyby spełniono żądania „odsłaniaczy”!

Na szczęście kopyły i jasne ściany świętego Jakuba nadal przezierają dyskretnie zza potężnych koron drzew, a tłem dla ołtarza jest ogromny bukiet starego kasztanowca.

Ale najokazalsze, najpotężniejsze i najpiękniejsze są kasztanowce wzdłuż posesji Kurii Metropolitalnej. Ich gesto pokryte kwiatami korony wznoszą się ponad dachy kamieniczek.

Udało się zachować drzewa podczas budowy łącznika Alei Najświętszej Maryi Panny z ul. Raclawicką. Oby im nic nie zagroziło, gdy będzie rozbierany mur Kurii i gdy stawiane będzie nowe ogrodzenie. Niestety bowiem, zamiast konserwować stary mur, Kuria zdecydowała się go wyburzyć, ze szkodą dla krajobrazu miasta.

Na tym terenie kiedyś posesję klasztoru siostr mariawitek odgradzał od Alei długi, ładny zabytkowy mur. W II połowie XX wieku zniszczono większe jego fragmenty, przy Liceum Sienkiewicza. Znikł też sąsiedni dworek siostr zmartwychwstaneek.

Majestatycznie starych kasztanowców wznoszą się tuż przy murze, opierają się o niego. Czy w trakcie prowadzonych robót nie zostaną uszkodzone pnie i korzenie? Jaka będzie forma nowego ogrodzenia? Czy aby nie tak brzydka, jak ogrodzenie siostr zmartwychwstaneek?

Aby ocalić niepowtarzalny klimat tego miejsca w sercu Częstochowy, mur powinien być zachowany w ist-



niejącej formie, z wielką pieczołowitością wobec pomnikowych kasztanowców. A kasztanowce - co prędzej wpisane na listę pomników przyrody.



Sztuka promieniuje

Lidka i Marcin Pospieszalscy
w rozmowie z Dominiką Radkowską

Marcinie, czy rozwijanie genu muzycznego wykorzystywanego zawodowo zaczęło się rozprzestrzeniać w rodzinie od Waszego pokolenia? Badaliście pod tym kątem dzieje rodu Pospieszalskich?

M.P. Siostra mojego dziadka, która zmarła młodo – Kazimiera Pospieszalska – uczyła się w konserwatorium berlińskim gry na fortepianie. Wiem, że ktoś jeszcze z naszych przodków zajmował się zawodowo muzyką, nie pamiętam szczegółowo, kto. Od ponad stu lat w naszej rodzinie są skrzypce, które dostał jeden z naszych przodków – musiały być jakieś muzyczne koneksje.

Twoi rodzice nie byli zawodowo związani z muzyką?

M.P. Nie. Jednak mama jako młoda dziewczyna pobierała regularne lekcje gry na fortepianie. A rodzina Pospieszalskich kultywowała mieszczańską tradycję śpiewu i muzykowania, przenikającą do codziennego życia.

Drugą, mniej ekspansywny gen w Waszej rodzinie, to plastyka. Kto ją uprawia?

M.P. Aaa, muszę powiedzieć, że to jest bardziej ekspansywny gen, ponieważ wszyscy rysowali w dzieciństwie lub młodości, a nie wszyscy grają. To jest ta różnica.

Ale o tych, którzy grają więcej słychać...

M.P. Zawodowo uprawiają plastykę najstarszy brat – Antoni i najstarsza siostra – Joanna (zarabiają przez sztukę plastyczne, malują, Antoni robił witraże). Każdy z nas się o to otarł, bo towarzyszyły nam albumy ze sztuką, projekty ołtarzy, rzeźb, witraży, które tata przygotowywał. Żyliśmy też taty pasjami

dotyczącymi kompozycji artystycznej, rzeźby, sztuki sakralnej, historii sztuki itd. Pamiętam, że w dzieciństwie to było silniejsze niż muzyka.

Czy ktoś bronił się, buntował przed pójściem w ślady większości, myśląc: jak cała rodzina może wykonywać odmianę jednego zawodu?

M.P. Myślę, że sztuka ma to do siebie, że zaczyna promieniować. Jeśli ktoś się nią zajmuje w rodzinie, to w automatyczny sposób przechodzi na rodzeństwo, czy na następne pokolenia, więc to nie jest niczym nadzwyczajnym. Znam wiele rodzin, w których to zjawisko można zaobserwować. Na przykład rodzina Sojków. Staszek ma trzech braci – muzyków. Rodzina Głowackich w Częstochowie zajmuje się sztukami plastycznymi i historią sztuki. To jest bardzo naturalne.

Jak wspominasz czas studiów? Był to dla Ciebie czas wyjątkowej pracy i zdobywania nowych umiejętności, czy skoro bardzo wcześnie zaczęłaś edukację muzyczną, było łatwo? U kogo studiowałaś? Z kim na roku?

M.P. Wybrałem taki kierunek studiów, który dla mnie był łatwiejszy, szedł w parze z moimi pasjami. To była aranżacja i kompozycja. Zawsze lubiłem komponować, improwizować. Nie wkładając wielkiego wysiłku udało mi się ukończyć studia. Aranżację miałem z profesorem Andrzejem Zubkiem, kontrabas również, przekazał mi też szczegółową wiedzę dotyczącą instrumentacji muzyki klasycznej.



Fot. Piotr Dłubak

nej. Na Wydziale Aranżacji i Kompozycji nie tylko jest aranżacja jazzowa, ale właśnie jest też kładziony duży nacisk na muzykę klasyczną, co jest bardzo dobre. Wiele z osób, które spotkałem na studiach ma w tej chwili trwałe miejsce w muzyce jazzowej w Polsce. Piotrek Wojtasik, trębacz – nasz bardzo bliski przyjaciel, Maciej Sikala – jeden z najwybitniejszych saksofonistów, Broniek Duży, Krzysiek Zawadzki, Lora Szafran, bracia Mizerowie, Bernard Maseli, Adam Wendt, cała plejada ludzi wpisanych w polską muzykę. To był bardzo dobry czas dla muzyki. Tam się zawiązywały zespoły. Byłem w składzie zespołu Young Power, ale mnie ciągnęło nie tylko do tworzenia z muzykami ze środowiska uczelnianego, bardziej z stron twórców z Częstochowy, Tie Breaku. Wtedy cały czas w tej grupie tiebreak'owej muzykowaliśmy – czy to był zespół Woo Boo Doo – czy przejściowy skład ze Staszkiem Sojką. Ten właśnie krąg bardziej mnie wciągał i mocniej kształtował. Ogólną wiedzę i obycie muzyczne zdobywałem na studiach, a oryginalność muzyczną ukształtowało we mnie środowisko częstochowskie.

Dla Ciebie. Lidio, wokalistyka była drugim kierunkiem studiów po ukończonej wcześniej geografii.

L.P. Tak, skończyłam studia wokalne na tym samym wydziale, na którym Marcin studiował aranżację. Byłam rok niżej, mimo, że jestem starsza od Marcina o trzy lata, ale to były drugie studia, więc po kolei tak to wyglądało. Nasz wydział był niewielki, więc wszyscy się znaliśmy, łatwo mi było poznać Marcina.

Twoje wcześniejsze zainteresowania były rozmaite...

L.P. Zawsze myślałam o muzyce, ale nie miałam takich możliwości, jak Marcin, żeby się kształcić. Pochodzę ze wsi i tam organista uczył mnie gry na fortepianie. Później, będąc jeszcze w szkole podstawowej, jeździłam 40 kilometrów do Poznania na prywatne lekcje, co było wyczynem dla dziecka. W Rogoźnie, gdzie poszłam do liceum, również nie było szkoły muzycznej, a w internacie, w którym wówczas mieszkałam, nie było możliwości ćwiczenia na instrumencie. Muzyka była dla mnie ważna, ale też wiele innych rzeczy mnie pociągało. Myślałam o historii sztuki, o matematyce... W klasie maturalnej kilkakrotnie zmieniałam planowane kierunki studiów. W końcu trafiłam na geografę. Chciałam być człowiekiem wykształconym. Samo śpiewanie dla osoby takiej jak ja, tzn. nie wykształconej muzycznie, wydawało się zajęciem niepewnym.

Wasi synowie kształcą się muzycznie?

L.P. Starszy, Nikodem, obecnie jest na kulturoznawstwie, chociaż był na kompozycji przez dwa lata. Mam nadzieję, że do kompozycji wróci. Ćwicz na bębnach. Młodszy, Mikołaj, skończył klasę skrzypiec, a potem zainteresował się kontrabasem, idąc śladami Marcina. Jest teraz na pierwszym roku studiów. Obaj mieszkają w Krakowie.

Dom czwórki muzyków to dom hałaśliwy, czy pełen spokoju?

L.P. Jak są awantury, to każdy dom może być hałaśliwy (śmiech). Ja lubiłam, kiedy synowie byli w domu, nawet, kiedy ćwiczyli w osobnych pomieszczeniach różne rzeczy. To było dla mnie życie. Nawet sąsiedzi znosili to cierpliwie, a niektórzy mówili, że jest przyjemnie, kiedy słyszą, że ktoś gra. Staliśmy się nie nadużywać ich cierpliwości. Nie graliśmy po dwudziestej drugiej. Brakuje mi tego czasu, kiedy byli w domu, teraz jest za cicho.

Czy fakt, że tytułowy utwór z Twojej płyty trafił na pierwsze miejsce Listy Przebojów Trójki przyniósł zapowiedź dalszych sukcesów?



Fot. Piotr Dłubak

sów? Dotarłaś w ten sposób do szerokiego kręgu odbiorców.

L.P. „Inajie” był utworem najbardziej lansowanym. Prócz Trójki grano płytę w różnych rozgłośniach lokalnych: Radio PiN, Radio Merkury, Radio Jasna Góra, Radio Fiat, Radio eM w Katowicach. Dzięki temu wszyscy kojarzą „Inajie” – kiedy zaczynam śpiewać, ludzie reagują oklaskami. Ożywiła się też nieco działalność koncertowa, chociaż uważam, że ciągle jest jej za mało. Grupa moich muzyków jest duża – siedmioosobowa. Trudno jest zorganizować trasę. Jest to muzyka kameralna, więc wolelibyśmy grać w klubach czy w jakichś niewielkich miejscach, a te na ogół nie mają pieniędzy. Ale szykuje się kilka pojedynczych koncertów, a jesienią więcej.

Są jakieś myśli o następnych płytach?

L.P. Tak, są. Dołączyłam już dwa utwory do programu koncertowego. One powstają w trakcie, myślę, że tego będzie więcej. Chcę, żeby ciągle przybywało coś nowego i myślę, że tym sposobem zbiera się materiał na kolejną płytę.

Życie muzyczne Częstochowy wydaje się być dość żywe jak na tej wielkości miasto. Wywodzi się stąd wielu muzyków, z których większość tu pozostała. Czy tak mi się tylko wydaje, ponieważ nie mam odniesienia do innych miast? Jak to oceniacie?

L.P. Tak, to jest fenomen, że tylu muzyków stąd się wywodzi i tutaj mieszka. To było zauważalne, jaki ogromny wpływ miał zespół Tie Break na gusta muzyczne ludzi i na młodych muzyków, którzy obecnie pojawili się na scenie, podczas koncertu na III Festiwalu Garaż w Sylwestra 2007/2008. Ktoś z zaproszonych z Gdańska muzyków powiedział, że w ich mieście byłoby niemożliwe, żeby w Sylwestra tego rodzaju wykonawcy (Tie Break, Tymon Tymański, Maleńczuk, Kinior i Makaruk) zgromadzili tak liczną, w dodatku wielopokoleniową publiczność.

M.P. Życie muzyczne w Częstochowie bywa ożywione. Jest świetny Festiwal Gaude Mater na poziomie europejskim. Ale są momenty posuchy.

L.P. Kluby jazzowe mają problemy – pojawiają się i znikają.

M.P. W Częstochowie nie było pracy edukacyjnej nad środowiskiem, która ukształtowałaby potrzeby odbiorców. Środowisko ludzi, którzy chodzą do teatru, filharmonii, klubów jest bardzo nikłe. Dziwię się, że nie ma w Częstochowie nawiązania do kultury,

która kiedyś tu była – na przykład tradycji muzyki żydowskiej. Z Częstochowy pochodził jeden z największych kantorów śpiewu żydowskiego. Dlaczego tylko w Krakowie młodzi ludzie zakładają zespoły nawiązujące do tamtej tradycji? A Częstochowa była takim ośrodkiem muzycznym i wypadałoby do tego wrócić. Z dokumentacji pana Mąkoszy wynika, że była także w naszych okolicach fantastyczna muzyka ludowa. Ta nić też została przerwana, nie ma kontynuacji muzyki ludowej, nie tej zapisywanej w nutach, ale tej prawdziwej, żywej, którą mogli przekazać starsi skrzypkowie czy śpiewaczki. Była ciekawa kultura tzw. pieśni działodzkiej albo pieśni pielgrzymkowej z XVIII i XIX wieku, która również zaniknęła. Gdyby ktoś miał pomysł na to, żeby wskrzęsić tę kulturę... Myślmy o tym, żeby zrobić warsztaty muzyczne dotyczące muzyki ludowej z regionu częstochowskiego. Brakuje mi tego, że Częstochowa nie znalazła sposobu na odrodzenie własnych korzeni etnicznych.

Jakie miasta są na Waszej mapie, tej zawodowej i tej prywatnej?

L.P. Tworzy się przede wszystkim w domu. Ale bardzo często jeździmy na wieś za Poznaniem, tam, gdzie się wychowałam. Marcin też tam chętnie przyjeżdża, bo tam znajdujemy spokój i dobrą atmosferę do pracy. Bardzo lubimy Poznań, Marcin ma tam swoje korzenie rodzinne ze strony ojca, ja ze strony wszystkich możliwych przodków. Odwiedzamy Wrocław, Kraków. Z Katowicami też jesteśmy związani emocjonalnie, ja wbrew pozorom lubiłam Katowice.

Miewaliście pokusę opuszczenia Częstochowy dla lepszej organizacji życia w innym miejscu?

L.P. Mieliśmy pokusę, żeby wyjechać do Stanów, jak byliśmy bardzo młodzi, ale nie w sensie emigracji. Wtedy była w nas ogromna, większa niż teraz, potrzeba rozwijania, uczenia się. Nie udało się wtedy ze względów finansowych, pojawiły się dzieci. Wtedy dużo trudniej było zorganizować sobie wyjazd. Teraz ludzie są dużo bardziej mobilni, wszystko jest łatwiejsze. Trochę żałujemy. Ale moje serce bije teraz w dwóch miejscach: to są okolice Częstochowy i okolice, w których się wychowałam. Przez to, że przebywam i tu, i tu, zaspokajam tę tęsknotę. Poza tym nie mam jakiegoś pragnienia, żeby być gdzieś dalej, ponieważ muzyk może mieszkać wszędzie. Ważne jest, żeby miał dobre warunki do pracy. Marzymy o lepszym studio, niż nasze domowe, o małym domku i ogródku.

M.P. W tej chwili świat jest taki: jednym kliknięciem jestem na stronach najlepszych muzyków z ca-

tego świata. Można wynajdować zapomniane nagrania. Jest portal, gdzie za niewielkie pieniądze możesz legalnie kupić pliki mp3 z muzyką z całego świata. Teraz nigdzie nie trzeba wyjeżdżać, żeby się inspirować i uczyć.

Interesuje Was muzyka ludowa, słuchacie jej?

L.P. Zawsze nas interesowała muzyka różnych krajów – afrykańska, hinduska. Jeszcze zanim poznałam Marcina, bardzo się fascynowałam zespołem Shakti. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nasz rodzimy folklor nas bardzo interesuje, tym bardziej, że – niestety – ginie. Podwójnie nas to mobilizuje, żeby go słuchać. Mogę dodać, że wykonuję dwa utwory ludowe w aranżacji Marcina. Są to pieśni z lubelskiego. Chciałabym, żeby było ich więcej. Podczas swojego komponowania umieszczam również elementy ludowego zaśpiewu. Uważam, że napisane przeze mnie dwie kompozycje dla Zakopower mają może nie tyle ludowy charakter, ale słowiańską melodykę.

M.P. Muzyka ludowa jest najlepszą inspiracją do twórczenia, jest najbliższe źródło. Ci z kompozytorów którzy byli blisko muzyki ludowej, potrafiący z tego źródła czerpać, byli najlepsi.



Fot. Piotr Dłubak

L.P. W muzyce ludowej są skale, których nie spotkamy w muzyce popowej, różnego rodzaju ozdobniki, których dzisiaj nikt nie stosuje. To jest ogromne bogactwo, nie mówiąc o bardzo ciekawej rytmice, na przykład mazurków i oberków.

M.P. W Lubelskiem rytmika pieśni jest bardzo nieregularna. Zachwycamy się muzyką bałkańską, która ma nieregularne metrum, a na Lubelszczyźnie grano również w bardzo skomplikowany sposób.

Chętnie podróżujecie?

L.P. Gdyby tylko czas pozwolił, podróżowalibyśmy dużo więcej. Niedawno wróciliśmy z Belgii – z zaledwie trzydniowego wyjazdu do rodziny Marcina. Była to bardzo ekscytująca podróż.

M.P. Moja kuzynka i jej mąż są astrofizykami. Zrobili nam niezwykle prezent – przy pomocy teleskopu pokazali nam pierścienie Saturna. Daleka podróż... Ogromne wrażenie zobaczyć to na własne oczy. Na co dzień widzimy tylko punkcik, gwiazdeczkę na niebie, a w przybliżeniu widać, że to planeta, która ma pierścienie.

L.P. Studia geograficzne wyrobiły we mnie nawyk czytania np. o walorach krajobrazu czy historii geologicznej miejsca, do którego jadę. W ubiegłe wakacje byliśmy w Wisłce nad Morzem Bałtyckim, na wyspie Wolin, przy klifie dokumentującym wszystkie zlodowacenia. Patrząc na niego można się domyślić, jaka warstwa za jaki okres geologiczny jest odpowiedzialna.

Jak zostałeś producentem muzycznym? Jak to się dzieje, że wykonawca powierza ostateczny wygląd swojego własnego dzieła osobie producenta? Sądzę, że to musi być osoba bardzo podobnie odbierająca i tworząca.

M.P. Bywa często tak, że wykonawca jest producentem własnej płyty. Jest bardzo dobrze, jeżeli ktoś ma dystans do tego, co robi i potrafi ocenić pewne rzeczy. Stąd się właśnie wzięła funkcja producenta muzycznego. Firmy płytowe chciały mieć gwarancję jakości muzycznej tego, co się ukazuje. Wykonawca na przykład był świetnym wokalistą, ale nie potrafiłby ogarnąć całości spraw związanych z aranżacją, brzmieniem, procesem nagrywania. I tu się właśnie przydaje producent muzyczny, który ogarnia z "lotu ptaka" całą przestrzeń muzyczną. Czasami ingeruje dosyć mocno, ten ostateczny produkt zależy w bardzo dużej mierze od producenta. Można powiedzieć, że jest to jego wizja produktu muzycznego. Mylnie czasami producent jest utożsamiany z tym, kto łożył płyty (śmiejch) albo z tym, kto daje pieniądze.

Ale wykonawca ma wpływ na wybór producenta?

M.P. Tak, ja miałem to szczęście, że wykonawcy sami mnie proponowali jako producenta. Tak było w przypadku Ani Jopek, Tosi Krzysztów, zespołu Raz Dwa, Trzy czy Mietka Szczeniaka.

Kiedy zaczęła tworzyć muzykę filmową i teatralną?

M.P. Michał Lorenc w osiemdziesiątym drugim roku zwrócił się do mnie o zaaranżowanie kawałków do filmu, przy którym pracowałem – już nie pamiętam tytułu. Często później aranżowałem, instrumentowałem jego muzykę do filmów. Przez niego poznałem materię filmową. Bardzo mnie to fascynowało. Później przyszedł czas robić samodzielnie rzeczy. Muzyka filmowa daje możliwość eksperymentowania z formami, z brzmieniem. Tutaj można wykorzystać bardzo ciekawe pomysły, które normalnie nie miałyby zastosowania, trudno byłoby ich użyć na płycie. W ścieżce dźwiękowej tymi kolorami można się posługiwać.

Z których tego typu kompozycji byłeś najbardziej zadowolony?

M.P. Muszę powiedzieć, że radość z takiej twórczości może mieć różne powody. Na przykład to, że udało się napisać samą muzykę ciekawie, że jest dobra jako samodzielne dzieło. A inny rodzaj radości jest, kiedy muzyka, która samodzielnie nie jest tak atrakcyjna, świetnie funkcjonuje z obrazem. Sam fakt, że miałem okazję pisać taką muzykę, usłyszeć ją zagraną na wielką orkiestrę; że było to autorskie dzieło, które ktoś wykonał – to jest rodzaj największej radości. Bardzo dużo przyjemności sprawia mi też pisanie muzyki do filmów animowanych. Jeden z nich był szczególnie: powstała seria filmów animowanych na podstawie bajek filozoficznych Kołakowskiego – „Bajki z królestwa Lailonii”. Do jednego z nich napisałem muzykę, z której jestem szczególnie zadowolony. Ten króciutki, bo szesnastominutowy, film miał bardzo wiele treści i ciekawe filozoficzne przesłanie i dawał pole do niesamowitych pomysłów – akcja toczyła się w wielu miejscach, były różne dramatyczne momenty. Występowały animowane, bardzo naturalistycznie wykonane postaci. To była bajka „O największej kłótni”.

Michał Lorenc w którymś z wywiadów przyznaje, że stosuje chwyt kompozytorsko niedozwolone, gdyż dobrze brzmi, a on jest nie do końca świadom sztywnych reguł kompozycji. Wytłumacz mu takie nieprawidłowości?

M.P. W tej chwili już nie ma chwytów niedozwolonych. Naczelną busolą jest gust muzyczny, smak, wycucie formy i obraz, który inspirował. To dobrze,

że Michał stosuje te „chwytów niedozwolone”, bo przez to muzyka jest ciekawa, niekonwencjonalna. Ludziom, którzy mają wielkie przywiązanie do reguł, czasami trudno jest stworzyć coś nowego, bo te reguły ich wiążą. Jest świetnie, kiedy geniusz w ramach reguł ogólnych czy ustanowionych przez siebie potrafi stworzyć świetną muzykę. Przypomina mi się historia Debussy'ego – genialnego, wykształconego muzyka, który potrafił sobie kpić z zadań harmonicznych. W harmonii klasycznej niedozwolone są kwinty równoległe – Debussy robił zadania, w których były same kwinty równoległe. Robił to świadomie, żeby zdenerwować swojego profesora. Ale w jego muzyce świadomie stosowane stworzyły one nową jakość. Jeśli się jest kimś takim jak Debussy, to genialnie, ale nie wszyscy potrafią wyjść poza te ograniczenia, które wykształcenie muzyczne nadaje. Wracając do twórczości Michała Lorenca – bardzo cenię jego muzyczny obraz. Ostatnio tylko sporadycznie współpracujemy. Czasami po przyjacielsku sobie podsyłamy nawzajem swoje kawałki do oceny. Muszę przyznać, że ja chyba nawet częściej pytałem go o zdanie przy różnych działaniach.

Czy w komponowanych przez Ciebie utworach jest jakaś muzyczna cecha charakterystyczna, taki „podpis”, o którego istnieniu laik nie ma pojęcia?



Fot. Piotr Dlubak

M.P. Może to być sposób instrumentacji, zawsze staram się, żeby wyraz utworu nie był oczywisty. Czasem posługuję się jakimś znanym schematem muzycznym, który się z czymś kojarzy. Ale nie lubię powielania w sposób automatyczny znanych schematów. Lubię, kiedy to, co robię niesie z sobą jakiś element oryginalności.

L.P. Zdecydowanie można rozpoznać Cię na basie.
M.P. (śmiejąc)

Anna Maria Jopek powiedziała, że jesteś mistrzem groove'u.

M.P. Groove to jest rytm, bicie serca, puls, to, co powoduje, że zaczynamy się kiwać przy muzyce.

L.P. Największe groove'y polskie to oberki, mazurki....

M.P. Może też być groove kujawiakowy, groove góralski... – to, dzięki czemu muzyka pulsuje. To jest ta cecha muzyki, którą najbardziej lubię. Al McDownell, świetny basista, z którym graliśmy na dwa basy wspólne koncerty z Michałem Urbaniakiem, powiedział, że każdy dźwięk jest dobry, byle był dobrze osadzony w rytmie. Według niego nie ma dźwięków złych, nawet dźwięki fałszywe mogą być dobre, jeśli są dobrze postawione w groove'u.

Uprawiasz mnóstwo form aktywności muzycznej. Aranżacje. Kompozycje. Gitara basowa. Produkcje muzyczne. Która jest ulubioną? Słyszałam, że lubisz komponować muzykę orkiestrową.

M.P. Lenistwo. Kiedy skończę coś ciężkiego i odpowiedzialnego, co wyzwała dużo adrenalinę, wtedy się czuję najlepiej, bo nic już więcej nie muszę robić... (śmiejąc). Granie – to jest największa radość dla muzyka. Tworzenie muzyki na żywo, kiedy bierze instrument do ręki i gra. Komponowanie na duże składy muzyczne też jest bardzo satysfakcjonujące, kiedy słyszysz, że sto instrumentów gra utwór, który napisałeś. Kiedy za dużo siedzę i piszę, to potem bardziej mnie pociąga granie.

Jest czas na odpoczynek, spokój, inne pasje poza muzyką?

L.P. Ja mam więcej czasu niż Marcin. Ostatnio zaczęłam biegać. Zakładam wtedy słuchawki z iPodem, na którym mam nagrany śpiew ptaków i próbuję rozpoznać napotkane ptaki. To jest bardzo pasjonujące. Zapamiętanie śpiewu ptaków jest niezwykle trudne.

Wyrabia to słuch muzyczny. Rudzik pięknie śpiewa, niedawno słyszałam strzyżyka.

Był czas, kiedy malowałaś?

L.P. Tak, dawniej lubiłam malować. Może kiedyś do tego wrócę, kiedy nie będę miała siły jeździć na koncerty. Ta malarska pasja chwilami się we mnie odzywa. Tymczasem lubię fotografować – jest krócej, łatwiej.

Jakie przedsięwzięcia będziecie realizować w najbliższym czasie?

M.P. Wolę nie myśleć.

L.P. Ja mam zaśpiewać w nowym składzie, po raz pierwszy bez Marcina. Kwartet: dwie gitary – Mateusz Otręba i Robert Cudzych, instrumenty perkusyjne – Kamil Cudzych. Nie mogę się doczekać tych koncertów. Na razie są dwa. Program jest zupełnie nowy.

M.P. Długo szukali nazwy dla tego zespołu. Nazywać się będzie "Wieczór z kwartetem". Lidka sięgnęła do piosenek, których nigdy nie wykonywała. Na przykład utwór do tekstu Gałczyńskiego "Prośba o wyspy szczęśliwe". Jesienią będzie parę koncertów, będziemy nagrywać pieśni adwentowe z zespołem Deus Meus.

L.P. Czeka nas też koncert pieśni uwielbienia w Rzeszowie. Corocznie grany w Boże Ciało duży koncert, na którym nie ma gwiazd, występują ci, którzy chcą brać udział.

M.P. Za parę dni w programie I Polskiego Radia z Darkiem Ciszewskim występuję w nocnej w audycji o korzeniach muzyki. Zabieram z sobą cymbały. Okazało się, że brat babci Darka, Tadeusz Kaszowski, był jednym z najbardziej znanych muzyków w regionie Rzeszowa, świetnym cymbalistą. Ja jestem pasjonatem tamtej muzyki – kupiłem sobie cymbały, nauczyłem się na nich grać. Zdobyłem nawet płytę z lat pięćdziesiątych nagranych z udziałem dziadko-wujka Darka. Później gram z Mietkiem Szcześniakiem koncert w Gdańsku z orkiestrą kameralną z Sopotu. Duża część tego koncertu będą to moje aranżacje, kompozycje, bądź instrumentacje. Na początku mają mamy koncerty na Ukrainie z zespołem New Life'm. Po powrocie gram z 2TM 2,3. Chciałoby się, żeby coś zostało z tego co robimy.

Dziękuję za rozmowę.

**Zagrać na kornecie piękny chorus
z Tadeuszem Ehrhadtem-Orgielewskim
liderem Five O'Clock Orchestra
rozmawia Zbigniew Burda**

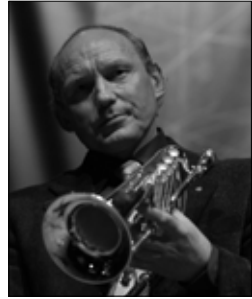
Można powiedzieć, że w Częstochowie wszystko się zaczęło. Który to był rok?

Hmm... 1964? Mój brat osobisty Marcei Orgielewski przywiózł mi płytę Wild Bill Davisona, która nosiła tytuł "Wide & Mailed". Byłem wtedy w IX klasie i ta płyta przykuła moją uwagę. To jest płyta, której do dziś często słucham. Gra na niej wielki kornecista amerykański Wild Bill Davison, z Albertem Nicolajem i George Brannissem, puzonistą. Pamiętam, w IX, w X klasie mój dzień wyglądał w ten sposób, że przychodziłem ze szkoły, teczka wysokim łukiem leciała w ką, a ja rozpoczynałem popołudnie tym, że tę płytę przesłuchiwałem dokładnie z obu stron. Mogłem ją ton po tonie, nutka po nutce odśpiewać na pamięć i wtedy to powstała ta wielka chęć, która z żądzy przerodziła się w granie na trąbce. Na trąbce dlatego, że kornety nie były możliwe zdobycia. Ja nie wiedziałem gdzie można go kupić, a mój Davison grał przecież na kornecie. Tato kupił mi na moje nieszczerze życiowe, polską trąbkę jazuową. Kosztowała, pamiętam, 3375 zł. Zacząłem więc brać lekcje u prof. Stępniewskiego. Te lekcje przerywałem, znów rozpoczynałem, po prostu po dłuższym graniu, zwłaszcza na wysokim rejestrze bolała mnie głowa. Odpowiedź na to znaleźliśmy wtedy, gdy mojemu sąsiadowi, Romkowi Długoszowi pożyczyłem tę trąbkę na tzw. „boki”, gdyż w jego trąbce coś tam wysiadło. Grał on na weselach, na różnych zabawach. Na drugi dzień przyszedł i powiedział: „na jakim ty zbruk grasz, ja przecież pół numeru zagrałem i myślałem, że płuca wypływają. Przecież ona jest chyba w środku zaspawana albo coś, a normalny człowiek nie podoła w nią dmuchać”. Wtedy zrozumiałem, że nie jest to brak predyspozycji, tylko że ja grałem na polskiej trąbce jazzowej klasy B. Cóż, miałem już wtedy 21 lat. Z obecnym stanem świadomości, to bym się tym nie przejmował, gdyż Henryk Majewski rozpoczął grać na trąbce mając 24 lata. Wydawało mi się jednak, że jestem już za stary i straciłem mój czas. Później jednak mój kolega z zespołu Andrzej Koronka zorganizował mi angielskiego Beakera, to trochę odżyłem. Zobaczyłem, że na trąbce da się grać. Takie były początki.

W swoich wypowiedziach bardzo często przywołujesz postać znakomitego polskiego trębacza jazzowego, Henryka Majewskiego. Kim był dla Ciebie?

Henryk Majewski był moim ... mistrzem, przyjacielem i drugim ojcem. Poznałem się w Iławie, na Złotej Tarce w 2001 roku. Był on wtedy przewodniczącym jury. Zdobyliśmy tam wtedy naszą pierwszą Złotą Tarę. Z perspektywy czasu, z lekkim przymrużeniem oka mogę opowiedzieć, jak to było. Mnie się wydawało, że skoro zdobyliśmy Złotą Tarę, to byliśmy wielcy i chodziłem z głową wysoko

zadartą tak, że mało kogo poznawalem na ulicy. Byłem w ogóle wielki i wspaniały. Postanowiłem więc zorganizować koncert „Śladami wielkiego Louisa Armstronga”, który odbył się w częstochowskiej filharmonii. Jako gościa specjalnego poprosiłem pana Henryka Majewskiego. Przyjął to zaproszenie, ale nie chciał od razu wystąpić, powiedział, że musimy zrobić sobie najpierw próbę. Zrobiliśmy próbę, on grał z nami, grał ... W domu nie opuszczaliśmy mnie wątpliwości. Następnego dnia odbył się koncert i po nim znów stałem się normalnym człowiekiem, z lekko spuszczoną głową. Poszedłem do pana Majewskiego z zapytaniem: panie Henryku, czy mógłbym przyjeżdżać na lekcje? Majewski zgodził się. W Polsce byłem dość często i w miarę możliwości starałem się być na lekcjach u pana Henia. W tym też czasie zaczął funkcjonować Five O'Clock, przekształcony 25 stycznia 2003 r. w Five O'Clock Orchestre. Henryk, cudowna i wspaniała postać, wspaniała znajomość, która przerodziła się w przyjaźń. Nasze lekcje, oprócz tych zajęć technicznych, były pogadankami, rozmowami na których uczyłem się bardzo wiele. Oczywiście płaciłem za te lekcje, ale był taki przypadek, że podczas jednej z nich cały prawie czas przegadaliśmy. Ja potem wyciągam kornet, trochę go przegrałem uderzając w kilka tonów a Henio, zawsze bardzo solidny i uczciwy człowiek, w ogóle za tą lekcję nie wziął żadnych pieniędzy. Ja mówię: no jak to, przyjechałem na lekcję. „Co za lekcja? – mówi – grałeś 15 minut, schowaj pieniądze. Przegadaliśmy cały czas, więc co to za lekcja.” Henio w stosunku do mnie, można by powiedzieć, był bardzo skąpy w pochwałach. Ale wiadomo: co jest rzadkie, to jest cenne. Jakby mnie za każdym razem chwalił, nie odnosiłoby to skutku. Pamiętam, że na którejś z kolei lekcji zacząłem z zapałem grać a potem powiedziałem: Heniu, zobaczysz, że przyjdzie taki czas, że nie będzie musiał się za mnie wstydzić. Ja będę ćwiczył tak długo, że będę grał jeszcze lepiej. A Henio takim spokojnym głosem mówi do mnie: „Tadziu, ja już w tej chwili nie muszę się za ciebie wstydzić”. Zatkalo mnie i na skrzydłach wracałem do domu. Drugi przypadek: wygraliśmy drugą Złotą Tarę. Na trzecią pojechaliśmy już jako grupa profesjonalna. Odbył się koncert, na którym był Henio. Po koncercie spotkaliśmy się następnego dnia, przy śniadaniu, a ja pytam: no, Heniu, jak było? A on powiedział: „Tadziu, zrobiłeś duże postępy. Naprawdę.” I to była ta druga pochwała. Nie zdążył mnie już więcej pochwalić. Wiesz, ja zawsze na koncertach mam jego zdjęcie ze sobą, a poza tym nie ma dnia, w którym bym o nim nie myślał. Jak zagram nie tak jak trzeba, to sobie myślę: no Heniu udawaj, że tego nie słyszałeś. A jak coś dobrze wyjdzie, mówię: no Heniu, co ty na to?



Czym jest więc jazz w Twoim życiu?

Jest ... sensem i treścią mego życia. Powoduje to, że w ogóle chce mnie się żyć. Nie wiem i nie wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby nie było w moim życiu jazzu. Widzisz, między 1977 a 1999 rokiem nie grałem nic, zero. Do tej pory nie umiem zrozumieć, dlaczego się tak stało. Wiesz, miałem wtedy małe dzieci, rodzinę na utrzymaniu, pracę itd. Ta żądza grania nie była chyba taka silna. Oczywiście zbierałem płyty jazzowe, słuchałem ich. Poza tym nie wierzyłem, że kiedyś mogę jeszcze solidnie grać. Wydawało mi się, że jestem za stary. Mogę powiedzieć, że sprawa się rozwiązała w Częstochowie, kiedy zagraliśmy po długiej przerwie z kolegami. To są moje drugie urodziny – 24 września 1999 rok. Stałem na scenie z okazji 50. lat Politechniki Częstochowskiej i pamiętam, że mało się tam wtedy nie rozplakałem. Zrozumiałem, ile straciłem nie grając. Postanowiłem wtedy, że już od teraz nie popuszczę. Zastanów się, facet rozpoczyna na nowo grać mając 51 lat. Inni schodzą mając 40–45 lat. Clifford Brown miał 25 lat jak zginął w wypadku samochodowym. A co po sobie zostawił? A tu facet zaczyna praktycznie od początku. Tutaj też wracamy do Henia, on też zaczął grać w wieku 24 lat. Kiedyś po jakimś koncercie zapytałem: jak ja gram właściwie? Odpowiedział: "nie stawiaj takich pytań. Bo jak takie pytanie stawiasz, to chcesz usłyszeć, że dobrze grasz. Powiem ci tak: jesteś na dobrej drodze i na pewno robisz duże postępy i rozwijasz się muzycznie. Oczywiście jest to u ciebie w fazie opóźnionej, ale wszystko idzie w dobrym kierunku. Ja miałem tysiące uczniów, ale nie spotkałem faceta, który miałby 54 lata i z takim zapalem się rozwijał i walczył o to, żeby dobrze grać". Granie tak się w mnie rozwijało, że ta żądza przerodziła się w namiętność. Oczywiście, wiele zadowolenia daje mi rodzina. Mam żonę, dwie dorosłe córki, ale ja nie żyję po to, aby wszyscy byli ze mnie zadowoleni. Stałem się z czasem trochę egoistyczny, żyję dla siebie, dla mojej muzyki. Zawiadomiłem o tym fakcie najbliższe moje otoczenie, że dla mnie jest ona najważniejsza i aby mi w tym nie przeszkadzano. Ie tam mi jest przeznaczone to nie wiadomo, ale zamierzam do ostatniego tchu muzyką się zajmować i grać. Oczywiście, nikt z nas nie wybiera sobie zakończenia drogi życiowej, ale jak bym miał do wyboru, to chciałbym, no cóż, z kornetem w ręce na scenie dostać zawału serca i łagodnie zejść. Na przykład Lillian Hardin, druga żona Armstronga. Kiedy po śmierci Louisa, na koncercie poświęconym jego pamięci grano St. Louis Blues, Lillian Hardin zaczęła bardzo namiętnie grać swoje solo na fortepianie, tak się zapamiętała, zaczęła palcami bębnić w klawiaturę, że w pewnym momencie osunęła się z krzesła i nieprzytomna upadła na scenę. Karetka nie dowiozła jej już do szpitala, zmarła w drodze. No powiem ci, jest to bohaterka śmierć muzyka jazzowego. Jeśli miałbym sobie wybrać koniec drogi życiowej, to taki bym sobie wybrał: z kornetem na scenie, zagrać piękny chorus, spokojnie zamknąć oczy i przejść na drugą stronę.

Jestem dumny z tego miasta ...

Z Kamillem Ostrowskim i Piotrem Chrzęstkiem z zespołu Nefre rozmawia Rafał Salamucha

Zespół Nefre powstał 2 lata temu. Niedługo ukaże się ich drugi album, a pierwszy „Słuchaj” w plebiscycie magazynu Free Colours został sklasyfikowany przez czytelników na 2 miejscu w kategorii REGGAE DEBIUT 2007. Sam zespół znalazł się na 3 miejscu w kategorii NADZIEJA POLSKIEGO REGGAE. W ostatnim czasie zdobył nagrodę TWÓRCY HISTORII w kategorii WSCHODZĄCA MŁODA GWIAZDA oraz był nominowany przez TVPI do nagrody Superjedyńki w kategorii Fonograficzny Debiut Roku 2007.

Rafał Salamucha: *Jesteście wszyscy w Nefre doświadczonymi muzykami. Właściwie poradziłibycie sobie w każdym innym mieście. Dlaczego zdecydowaliście się zostać i tworzyć w Częstochowie. W mieście, na które tak wielu narzeka i stąd ucieka?*

Piotr „Dziker” Chrzęstek (PC): Przerazają mnie ci ludzie i statystyki, które ostatnio czytam w gazetach. Rzezywiście, jest niedobór ludzi. Może dlatego, że nie mają pomysłu i teoretycznie perspektyw. Chociaż ma się ku lepszemu, jak dla mnie. My znaleźliśmy ten pomysł w muzyce. Jesteśmy też lokalnymi patriotami. Jeśli nie będzie lokalnych patriotów, to miasto zginie. A nie chcemy, żeby tak było. Dlatego Nefre zostało. Chociaż już pojawiały się propozycje, przynajmniej dla mnie, dla Kamila również, żeby pojechać do większego miasta i tam robić biznes. Mówię o polskim mieście. Nie o Londynie. Myślę, że trzeba rozwijać to miasto, które się kocha, w którym się żyje.

Kamil „Kamil” Ostrowski (KO): W tym mieście bardzo dobrze się mieszka i odpoczywa. Nasza praca jest ukierunkowana na działalność koncertową. Jeździmy po Polsce, po małych i dużych miastach. Tu wracamy i odpoczywamy. Mamy bardzo dobrą atmosferę do tego, żeby tworzyć piosenki. Siedzimy w studio w Kłobucku. Tam mamy ciszę, spokój, zaplecze socjalne. Bez żadnego ciśnienia można spokojnie pracować. Akurat w temacie artystycznym – muzycznym. Są też inne nazwiska, które zostały w Częstochowie.

PC: Sojka tu chętnie przyjeżdża, Małeńczuk. Wulu jest przyjaciół muzycznych, którzy czują się w Częstochowie wyśmienicie. Porównywalnie nawet z Krakowem. A przecież Kraków jest stacją talentów. Myślę, że czas na tworzenie w Częstochowie. Jestem dumny z tego miasta.

Tworzycie muzykę około reggae'ową. Tej muzyki słuchają często ludzie młodzi, o oryginalnym wyglądzie. Niedawno Gazeta Wyborcza opublikowała artykuł o grupie

mlodych ludzi, którzy w Częstochowie biją i napadają na osoby o odmiennym wyglądzie czy też z dredami. Jak wy zapatryjecie się na takie wydarzenia? Wszak śpiewacie o tolerancji, miłości, wolności.

PC: My jesteśmy mega tolerancyjni. Dziwię się, że są jeszcze takie grupki. Ale to jest niestety Polska. Ja jestem całkowicie przeciwny i z całą surowością karałbym takie wybrki. Jeśli chodzi o inność w naszym stylu, to mamy ją w sercach i w głowie. Bo jesteśmy zwiariowani jak każdy muzyk. My mamy normalny styl, sportowy. No, może oprócz Dominiki, która ma dredy. Ale dredy są teraz trendy. I teraz mało kto nosi dredy, kto słucha reggae. Dawniej były grupy wyraźnie walczące ze sobą. To były subkultury – mieli inne ideologie. Jeszcze to było zrozumiałe, chociaż nie powinno tak być. A teraz jeśli są grupy, które napadają na ludzi teoretycznie inaczej wyglądających, to ja tego w ogóle nie rozumiem i nie toleruję. Karałbym z całą surowością.

KO: Ja jestem absolutnie przeciwny i krytycznie do tego nastawiony. I mam nadzieję, że zostanie to wszystko wycięte w pień u zarodka. Był wleioletni spokój z tego typu grupkami. Absolutnie jesteśmy przeciwni.

Przeczytałem w jednej z recenzji waszej płyty, na jednym z portali internetowych, że sami określacie waszą muzykę jako sunshine. Co to jest sunshine?

KO: Dużo było dywagacji i sporów na temat, jakim jesteśmy zespołem. Ze jesteśmy pseudo reggae'owcami i pseudo hip-hop'owcami. Nie wiadomo co. Spontanicznie na pewnym spotkaniu, ktoś rzucił sunshine reggae. I słowo sunshine jest tak wymowne, że zostaje. Niektórym to się kojarzy z reggae. A nam z pogodnym, słonecznym przekazem.

PC: Muzyka słońca, muzyka pozytywna, trochę wakacyjna. Ale też na chłodne wieczory. Myślę, że sunshine to jest połączenie siedmiu naszych charakterów czyli funku, jazzu, hip-hopu, reggae. To wszystko jest w Nefre, dlatego nikt nas nie mógł zaszufladkować. Więc wymyśliłiśmy sobie, że jest to sunshine. Które kojarzy się z czymś pozytywnym, do zabawy.

Piotr, jesteś autorem tekstów. Co najbardziej do Ciebie przemawia przy pisaniu, przy wyborze tematyki? Co wywołuje refleksje?

PC: Najprościej mówiąc: życie. Coś mnie drażni, to od razu o tym piszę. Jest jeden utwór pod tytułem Prowadź mnie, i on opowiada o plotkach, które nas wszystkich dotyczą. W pewnym momencie nazywałem się na swój temat

takich rzeczy, że wcale się nie dziwię gwiazdom, które czytają o sobie w internecie bzdury. Ludzie którzy mnie nie znają, krytykują mnie najbardziej. A ci którzy mnie poznają, mogą mnie krytykować, ale nie muszą. Plotki trzeba omijać. Wiele osób o słabym charakterze nie dało by sobie z tym rady. I znam osobiście kilka osób, które byłyby dobrymi muzykami, showmanami, miały potencjał. Ale po pierwszej fali krytyki schowały się do ungeruntu. I nie ma ich obecnie. To dotyczy się nie tylko Częstochowy, ale i dużych miast. Wielu ludzi zapowiadających się świetnie muzycznie niestety zginęło. Plotki ich zniszczyły. Szczególnie dziewczyny, które miały zapatrywania muzyczne, czy malarki. Jest krytyka, jest koniec. I takie jest przesłanie, że nie trzeba sobie nic z tego robić... Mamy jeden utwór Wypalmy to całe zioło. Wywołał on duże kontrowersje w mieście, dlaczego my zioło promujemy. Nic bardziej mylnego. My nie promujemy narkotyków. Śpiewam, że muzyka jest dla mnie narkotykiem. Kto wie to też jest tekst o czymś. Niektórzy mówią to jest hit, kto wie niech do góry ręce... Zwrotki opowiadają o poważnych, ciężkich sytuacjach. Są też teksty pływające, np. Słuchaj nas. To jest taki dancehallowy utwór o dobrej zabawie.

Rymowanie jest trudne? Bardziej liczy się talent, czy lata ciężkiej pracy?

PC: Rymowania trzeba się nauczyć. Ja zacząłem rymować w 92, 93 roku. Jakbyś usłyszał wtedy moje teksty, to byś powiedział, że to nie jest Dziki. To były koślawe, pierwsze rymy. I szlifowałem je. W 95 roku wyszło coś lepszego. Jakieś polskie pierwsze składanki hip-hopowe. Patrząc wstecz 14 lat - niebo a ziemia. Znalezienie swojego stylu to jest podstawa. Rymowanie jest inną sztuką niż śpiewanie. Ktoś kto świetnie śpiewa, wcale nie musi umieć rymować. Już nie mówiąc o gestykulacji, która też wchodzi w kanon hip-hop'u. To jest pewna ekspresja. Ja próbuję teraz łączyć przyjemne z pożytecznym, czyli rymowanie z muzykowaniem i śpiewaniem.



W październiku ubiegłego roku ruszyliście w ogólnopolską trasę. Ile koncertów zagraлиście? Jaki był wasz najlepszy i najgorszy koncert ?

PC: Każdy koncert jest udany. No, może oprócz jednego ... W czerwcu minie dwa lata od pierwszego koncertu, który zagraлиśmy. 1 czerwca 2006 roku, na Juwenaliach w Częstochowie, przed T. Love'em. Zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci. Po tym koncercie stwierdziliśmy, że zostajemy i jesteśmy zespołem Nefre. Od tamtej pory zagraлиśmy około 70 koncertów. Jeśli chodzi o trasę, to była to klubowa, pierwsza duża trasa koncertowa. Najlepsze koncerty, to na pewno Warszawa, Klub Pod Mimoszami w Kaliszu, w Łodzi w Lizard Kingu. W Turze wspominam bardzo miło koncert. Było bardzo dużo naszych przyjaciół, którzy nas wspierają do tej pory.

KO: Każdy koncert przynosi pozytywne echo. Znajdują się nowi odbiorcy, którzy chwilę potem rejestrują się na naszym forum internetowym, na stronie nefre.art.pl.

W Częstochowie widać w ostatnich latach, poprzez imprezy klubowe i koncerty, że reggae, reggae, dancehall, sound-system – są wszechobecne. Co, według Was, mogłoby zrobić miasto dla kultury niezależnej, żeby ta scena jeszcze bardziej się rozwijała, owocowała i dawała wszystkim korzyści?

KO: Ja bym zostawił miasto na chwilę w spokoju. Bo miasto nie jest od tego, żeby kształtować gusta. Jest kilka klubów a brakuje zawsze publiczności. W mieście, które ma ówczesną miliona mieszkańców, jeżeli ktoś ma zapłacić za koncert polskiej gwiazdy 10 lub 15 złotych, pojawia się problem. W innych miastach, to nie stanowi żadnego. U nas jest masa malkontentów, którzy czają się na forach dyskusyjnych i gadają, że Nefre jest be, Habakuk też się kończy. Chcieliby gwiazdy nie wiadomo jakie, po czym jak przychodzi do realizacji przedsięwzięcia okazuje się, że brakuje odbiorców muzyki z górnej półki. Miasto ma tutaj mało wspólnego z tematem.

PC: W innych miastach bardziej się szanuje artystów. Może, to wynika z tego, że mimo wielkości miasta wszyscy się tu znają. Ludzie próbują wchodzić za darmo na koncerty, po znajomości. Mam grono przyjaciół, którzy zawsze zapłacą za bilet. Chociaż mnie znają i chodząmy razem na piwo. To jest właśnie szacunek. To jest ciężka praca, godzinny prób i pisanie tekstów. Dopiero efektem tego jest koncert. I my bardzo często odbieramy to, co zainwestowaliśmy. Co do miasta, przydałoby się, żeby pomogło wyznaczyć chociaż dziesięć miejsc w całej Częstochowie, w których można by legalnie rozwieszać plakaty koncertowe. Miasto pomaga umiarkowanie, ponieważ Gaudē Mater dostaje pieniądze i oni dzielą je między artystów. Ludzie nie mają gdzie robić prób, robią to w piwnicach. Chciałbym, żeby miasto wyznaczyło chociaż dwie takie świetlice, gdzie nie musiałyby być sprzęt miasta, tylko żeby pomieszczenia i prąd były za darmo. Na pewno znalazłoby się dziesięć undergroundowych zespołów, które by tam ćwiczyły. Staramy się pomagać, znajdujemy młodą kapelę częstochowską typu Yellow Tree lub zespół Krzyk i pomagamy młodym ludziom, żeby wyply-

nęli. Do tej pory miasto oczywiście pomaga, ale umiarkowanie. Przydałoby się dużo nowych inwestycji. Muszla, nie kłozetowa a koncertowa. Amfiteatr, taki mały, ale w mieście powinien być. W Częstochowie kiedyś był na Promenadzie. Dlaczego by nie wygospodarować gdzieś miejsca w śródmieściu, np. w Parku Solidarności. Lubliniec nie powstydzi się swojego amfiteatru z zapleczem. Radomsko, Lubliniec, Myszków, Bełchatów mają – Częstochowa nie ma.

A festiwal reggae, taki z prawdziwego zdarzenia, jak w Ostródzie. Myśleliście o tym ?

PC: Może nie festiwal. Ale chcieliśmy zrobić nagromadzenie gwiazd. Były plany, żeby wystąpił Vavamufin, Indios Bravos, Bakszys, Daab, Kult, O.S.T.R i inni. To miał być festiwal tolerancji. I to wszystko miało się odbyć w Hali Polonia lub na Stadionie Miejskim. I okazało się, że jest człowiek z Wrocławia, który wpadł na ten sam pomysł. Poszły ulotki i plakat, że on to robi, i my się wycofaliśmy. A mieliśmy świetną obsadę i myśleliśmy nad gwiazdą zagraniczną reggaeową. Może w przyszłości to dojdzie do skutku, Częstochowa jest świetnym miastem nadającym się na tego typu rzeczy.

KO: Jeśli chodzi o festiwal reggae w Częstochowie, to chyba nie ma sensu, bo mamy już w Polsce kilka sprawdzonych takich festiwali. Kolejny, który też musiałby być latem, nie ma sensu. Więc festiwal niezależny tak, ale reggae niekoniecznie.

Kiedy zadzwoniłem do Was pierwszy raz, byliście mocno zajęci w studio. Czy szykujecie nową płytę i czego mogą się spodziewać fani ?

KO: Szykujemy płytę i, podobnie jak płyta „Słuchaj”, drugie wydawnictwo ukaże się też w czerwcu, bo był to dla nas szczęśliwy termin. Na pewno będzie w podobnym stylu, aczkolwiek będzie dużo niespodzianek. Trudno mówić, jak będzie wyglądał cały album. Pojawia się goście z nami zaprzyjaźnieni...

PC: Warstwa tekstowa będzie korelowana z życiem. Pojawi się więcej instrumentalnych wersji, których nie było na pierwszej płycie, i skocznej muzyki, ska. Będzie około dwunastu utworów i skity, czyli krótkie, instrumentalne wersje. Mam nadzieję, że ta płyta będzie tańsza. Chcemy ją wydać własnym sumptem. Zakładamy specjalnie firmę fonograficzną. Mamy teraz możliwości nagrywania w studio taniej. Jeszcze nie mamy podpisanych umów, ale kto wie, może będziemy zajmować się młodymi zespołami.

KO: Być może chór się pojawi.

PC: To miała być jedna z niespodzianek... Ale tak, będzie profesjonalny chór i zaśpiewa jeden z refrenów. Oprócz chóru mam jeszcze kilka innych pomysłów, ale to ukaże się na płycie...

Dziękuję za rozmowę.

Na greckich korzeniach

Dorota Wysocka

Dziedzictwo zaborów – tak najczęściej mówi się o (nielicznym) śladach prawosławia w Częstochowie. Miejscowi dziejopiscy wspominają je głównie w patriotyczno-martyrologicznym kontekście. Wschodnie wyznanie jawi się wtedy jako narzucone, obce, w dodatku w niegodziwych celach sięgające po to co nasze, bliskie. Bez związku jakby z taką wizją w centrum rośnie nowa cerkiew, której uroda, odmienna niż innych częstochowskich świątyń, dodawać ma miastu blasku, świadczyć o jego przyjaznym otwarciu na wielokulturowość. Znak, jakim jest jej obecność, nie odczytamy bez wolnego od uprzedzeń sięgnięcia w przeszłość.

Pierwsza częstochowska cerkiew stanęła w Piotrkowie Trybunalskim. Urzędujący tam oficjalnie od 1788 roku duchowny objął opieką wiernych także z Częstochowy, Łęczycy i Opoczna. Wszyscy oni przybyli z południa, z zajętych przez Turków Bałkanów. Grecy i macedońscy kupcy i rzemieślnicy już w XVI, ale zwłaszcza w XVIII wieku rozlewali się po niemal wszystkich polskich miastach. Osiedlało się ich kilka, kilkanaście, w Piotrkowie na przykład trzydzieści rodzin. Władze długo nie pozwalały im budować świątyń.

W XVIII wieku wyobrażano bowiem sobie, że prawosławie, wyznanie rodzime, obecne w państwie od czasu poszerzania zdobyczy terytorialnych na wschodzie, a jurysdykcyjnie podporządkowane patriarchatowi konstantynopolańskiemu, już w Rzeczypospolitej Obojga Narodów zamiera. Jeszcze w połowie poprzedniego stulecia to rzymscy katolicy byli w niej mniejszością, pozostając do różnowierców w stosunku mniej więcej 40/60. Działania kontrreformacyjne, unia brzeska 1596 roku, która większość prawosławnych, przy zachowaniu odrębności obrzędowej, podporządkowała Stolicy Apostolskiej, a potem ułatwiła ich stopniową łatinizację, odpadnięcie ziem, na których się przeciwko temu buntowano i nieustająca aktywność prozelityczna odwróciły

proporcje. Jedna niewielka diecezja i nieco małych enklaw, w tym kilka na terenach i dziś należących do Polski, to cały stan posiadania wyznawców, których duchowa i administracyjna zwierzchność rezydowała już, z woli władz państwowych, nie w tureckim Konstantynopolu, a w Moskwie.

Prawosławni Grecy mieli nie demonstrować odmienności religijnej, a ich cerkwie, kiedy wreszcie pozwolono im je budować, miały być pozbawione kopuł, wież, dzwonów, krzyży, napisów i w ogóle z zewnątrz nie przypominać świątyni. Ci z Częstochowy zapewne do Piotrkowa rzadko jeździli, częściej odwiedzał ich duchowny. Modlono się wtedy w tak zwanej cerkwi domowej, w przystosowanym do tego celu mieszkaniu. Gdzie? – nie wiemy.

Przybyłszy z Bałkanów długo pielęgnowali swoją odrębność. Ich potomkowie zapewne do dziś mieszkają między nami, spolonizowani, czemu sprzyjał i fakt noszenia przez Macedończyków, także ogólnie nazywanych Grekami, swojskich słowiańskich na-



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

zwick (pierwszy piotrkowski, a więc i częstochowski proboszcz prawosławny nazywał się na przykład Georgios Sergulowski).

Osiedlający się w mieście od lat 20. XIX wieku rosyjscy urzędnicy czy przedsiębiorcy także długo czekali na odrębną świątynię. Zaspokojeniu potrzeb religijnych, tak jak w przypadku Greków, służyły cerkwie domowe. Pierwszą o której wiemy, urządzono w domu Adama Szudejki przy ulicy Wieluńskiej 8. W 1875 zniszczył ją pożar. Kolejną, w latach 60., przygotowano na pierwszym piętrze stojącej do dziś kamienicy w Alejach 32. Należała do jednego z najznacześniejszych wówczas obywateli miasta, kapitana sztabowego Andrzeja Ignatiewa.

Wezłej jednak, w latach 40., tak jak w całym Królestwie Polskim, pojawiło się w Częstochowie rosyjskie wojsko. Jego liczebność stale się zwiększała. Każdy pułk – litewski, połocki, jekaterynuburski, mitawski – miał odrębne koszarę. Straż graniczna stacjonowała w charakterystycznym budynku przy obecnej ulicy Popieluszki, cztery pułki rozlokowano w jednym, długim, podzielonym na segmenty, gmachu z czerwonej cegły (stoi do dziś przy ulicy Dąbrowskiego jako siedziba Politechniki Częstochowskiej). Każdy z nich urządził w koszarowych pomieszczeniach osobną cerkiew domową. Nie było to rozwiązanie wygodne, w liturgii mogły uczestniczyć, poza duchownymi, tylko wybrane osoby, żołnierze stali na zewnątrz. Wojsko – każdy pułk na własną rękę – ubiegało się zatem u władz miejskich o działkę na wolno stojącą świątynię.

Udało się ją wznieść w 1896 roku, według prostego, specjalnie dla wojska przygotowanego, planu, jedynie 42. mitawskiemu pułkowi dragonów. Patro-

nem garnizonowej cerkwi przy ulicy Dąbrowskiego został św. Mikołaj.

7. i 8. pułkowi strzeleckiemu miasto przed wybuchem I wojny światowej zdążyło przydzielić plac przy zbiegu obecnych ulic Pułaskiego i Waszyngtona, do tej pory niezabudowany.

Jeszcze jedna cerkiew domowa pojawiła się, na krótko, w Częstochowie. Na rogu Alei Wolności i Sobieskiego, wtedy Teatralnej i Nowej, w latach 1912-1913 wznosił okazałą siedzibę młodszy brat Mikołaja II, Michał Aleksandrowicz Romanow. Po wojnie gmach przejęło wojsko. W wydzielonej specjalnie na cele religijne części jeszcze do niedawna działało kasyno, teraz sala tańca.

Nie te jednak pomieszczenia, a sylwetkę kościoła św. Jakuba przywołuje hasło „cerkwie Częstochowy”. Słusznie, gdyż to dawna, wyświęcona w 1872 roku, cerkiew św.św. Cyryla i Metodego.

Bardzo już była prawosławnym mieszkańcom Częstochowy potrzebna. Zebrało się ich tu kilka tysięcy. Tak jak w każdym większym polskim mieście urzędnicy, oficerowie, handlowcy, przedsiębiorcy, kolejarze, nauczyciele... Przyciągnęły ich miejsca pracy, ale i szczególnie sława miejsca. Kult Częstochowskiej Ikony Matki Bożej, bliski prawosławnej duchowości, rozpowszechniony był w całym imperium rosyjskim (nigdy nie wygaszony, znowu się zresztą na wschodzie rozwija).

Nadający się na ten cel, a należący do miasta plac wskazało szybko – w reprezentacyjnym miejscu, na przedłużeniu Alei, naprzeciwko ratusza.

Zamożna rosyjska społeczność wystawiła budowlę okazałą, bliźniaczo podobną do katedralnej cerkwi warszawskiej, cała jej wspaniałość kryła się jednak we wnętrzu – w jakości posadzek, malowideł, ikonostasu, świecznika, naczyń i ksiąg liturgicznych, ilości srebrnych koszulek na ikonach. Na honorowym miej-



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

scu umieszczono – wysokiej klasy – kopię Częstochowskiej Ikony.

Świątynię odebrali prawosławnym Niemcy tuż po wybuchu I wojny światowej. Stała się kościołem garnizonowym, w takim też charakterze w 1918 roku przejęli ją Polacy. Aby to uzasadnić, nie wystarczyło powszechne w tamtym okresie przekonanie, że cerkwie tożsame są z zaborczą władzą i – zwłaszcza duże – jako symbol owego obcego panowania powinny zniknąć, najlepiej bez śladu, w ostateczności, w ramach wyrównywania krzywd, służyć prawowitym gospodarzom. Nie zniknęli bowiem z Częstochowy, tak jak wielką falą ewakuowali się na wezwanie rządu z innych polskich miast w 1915 roku, wyznawcy prawosławia. Poszukano mocniejszego argumentu. Dokładnie na placu zajęтым przez cerkiew stać miał wcześniej kościół św. Jakuba, w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia opuszczony wprawdzie i zrujnowany, ale to przez Rosjan, nie wykluczone że w odwecie za patriotyczną postawę siostr mariawitek, które wcześniej się nim opiekowały, rozebrany. - Nie sięgamy po cudze - powtarzano z naciskiem - odzyskujemy jedynie nasze. Cerkiew stała się zatem kościołem św. Jakuba, w każdym opracowaniu historii miasta przedstawianym jako element ciągłości historycznej, którą zaborcy usiłowali tu zakłócić.

Dokumenty z częstochowskiego archiwum, nigdy krytycznie nie przebadane, i dodana do nich odrobina zdrowego rozsądku wskazują, że taki obraz przeszłości ma oparcie w legendzie, a nie faktach. Prezentacja hipotez i dowodów wymaga osobnego tekstu, jako źródło, nie najważniejsze, wskażę więc jedynie wspomnienia pierwszego proboszcza parafii św.św. Cyryla i Metodego, o. Nikodema Sokolowa. Opowiadając o budowaniu swojej świątyni kilka zdań poświęcił i innej, św. Jakuba, stojącej w *blizi*.

Tak czy inaczej częstochowscy prawosławni zostali bez cerkwi. Garnizonową, św. Mikołaja, opuszczoną przez wojsko, przejęli, nie wiadomo dokładnie dlaczego, właściciele przylegającej do niej kamienicy i po zburzeniu wieży urządzili w niej kino „Świt”, a potem salę gimnastyczną. Władze przez cały okres międzywojenny obiecywały znaleźć plac na budowę nowej cerkwi. Wierni na własną rękę szukali miejsca wspólnej modlitwy. Znaleźli je u zbiegu Jasnogórskiej i Sułkowskiego, w budynku dziś mieszczącym szkołę muzyczną, ale szybko ich wyproszono – strop nie wytrzymał ciężaru stu kilkudziesięciu osób. Inni w 1925 roku wynajęli nieużywaną już kuźnię przy Waszyngtona. Po przystosowaniu stała się cerkwią Świętej Trójcy. Nie ma po niej śladu, stoi tam teraz stacja krwiodawstwa.

Taki stan trwał do 1943 roku. Wtedy nieoczekiwanie niemieckie władze okupacyjne wystąpiły z propozycją zwrotu prawosławnym kościoła św. Jakuba. Niektórzy utrzymują, nie podając dowodów, że zrobiły to ze względu na stacjonujące w mieście, a współpracujące z nimi pomocnicze oddziały ukraińskie. Prawosławni – mówimy wciąż o kilkutyśięcnej rzeszy wiernych bez świątyni – tak tego nie pamiętają. Propozycję przyjęli, po dwóch latach znów się jednak musieli wyprowadzić. Nowe polskie władze powtórzyły wszystkie argumenty poprzednich. Nie – usłyszano na prośbę o zwrot cerkwi św.św. Cyryla i Metodego. Nie – cerkwi garnizonowej (urządzone tam wkrótce filharmonię). Nie – dużego budynku parafialnego.

Wspólnotę przyciągał wtedy – okazało się, że na dwadzieścia lat – proboszcz parafii ewangelickiej. Uostępnił salę katechetyczną, a w Wielki Piątek i na wielkanocną liturgię otwierał świątynię. Salka mieściła właściwie tylko duchownego, wierni stali na schodach i na dziedzińcu. Wciąż było ich niemało.



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

W latach 50. pod jedną z petycji podpisało się 660 osób, nie wszyscy przecież.

Miasto czyniło nadzieje na zwrot cerkwi garnizonowej – w 1965 roku filharmonia przeprowadzała się do dawnej synagogi. W ostatniej chwili władze zmieniły zdanie - uznały, że obiekt otrzyma parafia polskokatolicka. W akcie desperacji ówczesny proboszcz, ks. Mikołaj Czurak, pojechał do wojewody katowickiego, generała Ziętka. Tam wskazano mu drzwi. Oszołomiony i zdruzgotany duchowny zszedł piętro niżej, gdzie urzędował towarzyszy Gierek. Ten wysłuchał go cierpliwie i poprosił, by spokojnie wracał do Częstochowy. Anegdota głosi, że gdy ks. Czurak zjawił się w domu, na stole w kuchni leżał już przydział na opuszczony przez muzyków budynek.

Prawosławni mogli urządzić cerkiew, ale nie byli jej właścicielami. Potrzebne były pilne naprawy, w ogóle generalny remont, sprawa rozbijała się jednak nie tyle o pieniądze, co brak zgody na jakiegokolwiek prace. Stały się one możliwe dopiero po wejściu w życie w 1991 roku ustawy o stosunku państwa do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Z mocy prawa parafia została właścicielem użytkowanego, lecz pozostającego w fatalnym stanie technicznym, budynku.

Zamiast wkładać w niego majątek, zdecydowano się

budować nową świątynię. Starą, niemal ruinę, ale w dobrym punkcie, kupił prywatny inwestor. Teraz ulokował się tam Deutsche Bank. Parafia zaś wystąpiła, tak jak na to pozwalały nowe przepisy, o zwrot gmachu i zabudowanego już placu po dawnej siedzibie częstochowskich duchownych przy Alejach 47. Nie zależało jej na tym właśnie miejscu, a na ekwiwalencie. Po wieloletnich negocjacjach i przepychankach zgodziła się na posesję przy ulicy Kopernika 7/9 z wymagającym poważnego remontu domem parafialnym i niespełna tysiącmetrowy plac przy zbiegu Kopernika i Śląskiej, dokładnie naprzeciwko kościoła ewangelickiego, który tak długo udzielał jej gościny. Tam stanęła cerkiew. Nad wezwaniem długo się nie zastanawiano – Częstochowskiej Ikony Matki Bożej. W Polsce nie ma drugiej takiej, kilka jest za wschodnią granicą.

Cerkiew zaprojektował doświadczony, chętnie sięgający do form historycznych, białostocki architekt Michał Bałasz. Miała nawiązywać do klasycznych wzorców, być lekka i oryginalna. Konserwator początkowo projekt oprotestował. Uznał, że będzie zbyt reprezentacyjna i zdominuje otoczenie, w którym nic nie może zakłócić widoku na Jasną Górę. – Pomyślcie o czymś skromniejszym – sugerował. Studium widokowe rozwiało jednak wątpliwości. Okazało się, że świątynia doskonale wpasuje się w okolicę i że to



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



wieża kościoła ewangelickiego wciąż górować będzie nad budynkami.

Zgoda na budowę nadeszła tuż przed wizytą patriarchy konstantynopolińskiego Bartolomeusza I, honorowego zwierzchnika prawosławnego świata, który 13 października 1998 roku poświęcił kamień węgielny.

Budowa to wielki ciężar dla wspólnoty i jej proboszcza, o Mirosława Drabiuka.

- Przyjechałem tu w 1976 roku, prosto po seminarium – wspomina. - Zastałem jeszcze kilkuset wiernych i kilkunastuosobowy chór. Przez te wszystkie lata żegnam się z moimi parafianami. Pogrzeby, pogrzeby, tylko czasem wyjazdy.



Parafii jednak daleko do zniknięcia. Zmienia się tylko jej charakter. Coraz więcej małżeństw mieszanych, coraz więcej przybyszów ze wschodu i coraz więcej pielgrzymów. Przyjeżdżają, by się pokłonić Częstochowskiej Ikonie, ale i o poświęconej jej cerkwi nie zapominają.

Dorota Wysocka
(kwerenda archiwalna Andrzeja Bossowski)

Fotografie: Archiwum A3, Zbigniew Burda

* * *

Nie tylko różne podejścia do teologicznych problemów podzieliły Wschód i Zachód, ale także brak wzajemnego szacunku dla tradycji, duchowości, zwyczajów. Niektóre sporne kwestie dziś wydają się śmieszne - jak konflikt wokół bród duchownych (!). Jednak problemy mające za źródło ambicje i politykę, które odegrały tak istotną rolę przed tysiącem lat i dawały o sobie znać w ciągu wieków, nawet jako konflikty zbrojne i akty przemocy - z pewnością i dziś nie zostały całkiem przezwyżnione.

Obecnie największa różnica dzielała siostrzane Kościoły dotyczy struktury Kościoła i odnosi się do roli papieża. Zdawał sobie z tego sprawę Jan Paweł II. Pod koniec pontyfikatu dał wyraźny sygnał, by teologicznie rozważyć istotę i sposób sprawowania posługi papieskiej w Kościele, co jest bardzo ważnym krokiem w dziedzinie ekumenizmu.

Poważne różnice istnieją, gdy chodzi o prerogatywy papieża, zakres jego władzy, tak duchowej jak i administracyjnej, w Kościele. Kościoły prawosławne są autokefaliczne, czyli mają własnych najwyższych zwierzchników - głowy; nawet patriarcha ekumeniczny jest tylko zwierzchnikiem honorowym prawosławia. I w takich też kategoriach skłonne byłyby widzieć prymat papieski. Gdy tymczasem dla katolików władza papieża rozciąga się na cały Kościół, wzmocniona jeszcze dogmatem nieomylności, gdy papież naucza ex cathedra w sprawach wiary i moralności. Nie zmienia tego silniejszy akcent położony przez II Sobór Watykański na kolegialność biskupów, którzy są następcami apostołów w swoich Kościołach lokalnych, a nie tylko delegatami papieża i wspólnie z nim noszą odpowiedzialność za cały Kościół. Nie ma natomiast między Kościołem katolickim a Kościołami prawosławnymi istotnej różnicy w pojmowaniu kapłaństwa - oraz biskupstwa, przekazywanego nieprzerwanie w sukcesji apostoelskiej. Różnica dotyczy celibatu. W Kościele łacińskim ukształtowała się praktyka obowiązkowego celibatu duchowieństwa. Dopiero niedawno powrócono do wyswienięcia na diakonów stałych także żonatych mężczyzn. Reguła pozostał celibat przbiterów. W Kościele prawosławnym natomiast - podobnie zresztą jest we wschodnich obrządkach Kościoła katolickiego - celibat jest obligatoryjny tylko dla zakonników i biskupów, nie obowiązuje zaś duchowieństwa parafialnego.

Oba Kościoły łączą kult Matki Bożej, w Kościele wschodnim bardzo akcentowany. Wspólni dla Wschodu i Zachodu są również ojcowie Kościoła i wielcy święci pierwszego tysiąclecia, wśród nich św. Cyryl i Metody, szczególnie zasłużeńi dla chrześcijaństwa we wschodniej Europie, także dla kultury Słowian. Jan Paweł II, któremu bardzo zależało, by Kościół mógł oddychać dwoma płucami - Wschodu i Zachodu, ogłosił Cyryla i Metodego patronami Europy. Wagę tego wydarzenia podkreślił mocno metropolita warszawski i całej Polski arcybiskup Bazylej, głowa Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Polsce, witając Jana Pawła II podczas drugiej pielgrzymki do ojczyzny w 1983 r.

Dobrze, że żyjemy w czasach, gdy ekumenizm stał się oczywistością. Nie znaczy to oczywiście, że wszelkie trudności ustały, a wszystkie problemy zostały rozwiązane. To, co narosło przez wieki, trudno odrobić w ciągu kilkudziesięciu lat.

Przygotowana przez wcześniejsze modlitwy, przemyślenia i działania osób i środowisk, zdecydowana przemiana nastąpiła w II połowie XX w. Silny impuls w tym kierunku dał papież Jan XXIII. Ogromną rolę odegrał II Sobór Watykański i wielkie postaci Kościoła tego czasu: kardynał Bea, papież Paweł VI, prawosławny patriarcha ekumeniczny Konstantynopola Athenagoras I. Zmianę atmosfery dobitnie uwidoczniły - i równocześnie ją kształtowały - wielkie gesty. Jednym z nich był historyczny uścisk braterski Pawła VI i Athenagoras I. Silną wymowę miał też fakt publicznego ucałowania stóp metropolity prawosławnego przez Pawła VI w bazylice św. Piotra. Wyrazistym aktem o wymowie symbolu było wzajemne zniesienie ekskomunik obu Kościołów. A później - wiele spotkań w czasie pielgrzymek Jana Pawła II po świecie, wizyty wysokich przedstawicieli prawosławia w Watykanie, wymiana wizyt oficjalnych delegacji na doroczne uroczystości św. Apostołów Piotra i Pawła oraz św. Andrzeja Apostoła w Rzymie i Konstantynopolu, dialog teologiczny.

Problemy teologiczne, które przed tysiącem lat podzieliły Kościół Wschodu i Zachodu, straciły już na ostrości. Choćby

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

słynne "Filioque" w Credo - pochodzenie Ducha św. Jan Paweł II nie jeden raz używał w liturgii formuły wschodniej.

Również Polska ma w dziedzinie ekumenicznej istotne osiągnięcia. Przykładem może być wzajemne uznanie ważności chrztu przez prawie wszystkie Kościoły chrześcijańskie - w tym, rzecz jasna, przez Kościół katolicki i Kościół prawosławny. Takie całonocne rozwiązanie było pionierskie w skali światowej. Rozwija się dialog, wspólna modlitwa, współpraca w różnych dziedzinach, także charytatywnej (wspólne akcje katolickiej Caritas, Eleos z Kościoła prawosławnego i ewangelickiej Diakonii) - również w ramach kontaktów między Kościołem rzymskokatolickim a Polską Radą Ekumeniczną, do której Kościół prawosławny w Polsce należy.

W styczniu każdego roku odbywają się w całym świecie chrześcijańskim Tygodnie Modlitw o Jedność Chrześcijan. Również chrześcijanie Częstochowy mają w nich swój udział. Od lat wykształciła się u nas praktyka dwóch nabożeństw ekumenicznych: liturgii Słowa w jednej z parafii katolickich, w czasie której kazania głoszą duchowni poszczególnych Kościołów - i mszy św. na zakończenie Tygodnia, odprawianej w kościółku Imienia Maryi w III Alei Najświętszej Maryi Panny przez metropolitę częstochowskiego. Wspólny udział duchownych w obchodach uroczystości kościelnych i państwowych oraz miejskich spotkaniach noworocznych też ma tu swoje znaczenie.

W tym kontekście przypomnę uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego cerkwi w Częstochowie. Poświęcenia dokonał patriarcha ekumeniczny Konstantynopola Bartolomeos I, który zaraz potem udał się z oficjalną pielgrzymką na Jasną Górę, uroczyste witany przez paulinów. Innym ważnym spotkaniem, już w murach wybudowanej cerkwi, była uroczystość poświęcenia krzyży na kopuły świętymi przez arcybiskupa lubelskiego i chełmskiego Abła, z udziałem licznych pielgrzymów. Wśród wspaniałych śpiewów bogate stroje liturgiczne kontrastowały pięknie z surowymi murami wypełnionej parafianami i pielgrzymami cerkwi.

Nie bez znaczenia wydają się też działania artystyczne o charakterze ekumenicznym. Przed kilkunastu laty, na zaproszenie Aleksandra Markowskiego, uczestniczyłem wraz z kilku innymi artystami w organizowanej przez niego wystawie "W stronę światła", w salach częstochowskiego Biura Wystaw Artystycznych, kierowanego wówczas przez Wojciecha Skrodzkiego. Moja prezentacja, oprócz cyklu obrazów, zawierała instalację, której ważnymi elementami były cienkie cerkiewne świeczki, ustawiane na bryłach skały wapiennej. Po świeczki udałem się do cerkwi, która funkcjonowała wtedy w tymczasowym pomieszczeniu przy ul. Orzechowskiego. Odwiedziłem proboszcza, ks. Mirosława Drabiuka i zaprosiłem go na otwarcie wystawy. Ksiądz akurat miał gości z Grecji: rektora Akademii Teologicznej w Atenach, archimandrytę Paulosa Tsaoussoglou i studenta tej Akademii Georgiosa Saganisa... Zapytał, czy mogą przyjść razem. I rzeczywiście, przyszli. W malowniczych strojach duchownych, wzięli udział w artystycznym działaniu mojego autorstwa, zapalając świeczki na skałach, tworzące drogę ku rozświetlonej płaszczyźnie. Następnie moje autorskie działania związane są z neogotyckim kościołem ewangelickim - oraz z Międzynarodowym Festiwalem Muzyki Sakralnej "Gaude Mater", Festiwal sam w sobie jest ważnym wydarzeniem artystycznym i ekumenicznym. Ma w programie, między innymi, wspaniałe śpiewy prawosławnych chorów z różnych stron świata. Korzystając z gościnności parafii ewangelickiej z ówczesnym proboszczem, ks. Henrykiem Kurzawą, przygotowywałem ogólnopolskie wystawy sztuki, w których obok wybitnych artystów z kraju, uczestniczyli także goście z zagranicy. Otwarcie tych wystaw miało formę ekumenicznych autorskich misterii, które łączyły muzykę, słowo - lekturę odpowiednich fragmentów Pisma św. - oraz działania plastyczne. Czynny udział brali w nich duchowni Kościołów chrześcijańskich, a także przedstawiciele wyznania moźeszowego. W tych właśnie misteriach niezwykle ważne było uczestnictwo ks. kanonika Mirosława Drabiuka. Pierwsze, "Droga", miało charakter paschalny: w ciemnym wnętrzu kościoła uczestnicy wędrowali ze świecami zapalonymi od jasnogórskiego paschału. Wędrowce towarzyszyły śpiewy wielkanocnych modlitw trzech Kościołów chrześcijańskich. Wielkonoctny hymn Ekultet śpiewał paulin z Ja-

snej Góry, zaś śpiew z liturgii bizantyńskiej, po grecku i w języku staroecerkiewnoślawiańskim wykonał ks. Drabiuk z córką. Śpiew ten, przy płonącej świecy, w asyście jasnogórskiego paulina i ewangelickiego proboszcza, podobnie jak kulminacyjny gest pochylenia w ciszy trzech duchownych trzech Kościołów nad świecą paschalną z Jasnej Góry i wymiana znaku pokoju - robiły szczególnie silne wrażenie na uczestnikach.

Udział w następnych misteriach ks. Mirosław uzależnił od zgody swego biskupa. Tak się złożyło, że ordynariusz prawosławnej diecezji łódzko-poznańskiej, do której i Częstochowa należy, arcybiskup Szymon, uczestniczył w otwarciu dużej wystawy skarbów sztuki cerkiewnej w częstochowskim Ratuszu. Nawiazałem z nim rozmowę i przedstawiłem tę inicjatywę. Niedługo nadeszło oficjalne pismo z błogosławieństwem na dalsze działania. Przechowuję je starannie jako bardzo ważny dokument. Do wiadomości otrzymał to pismo także ks. Drabiuk. Warto podkreślić również jego udział w kolejnych misteriach: "Księga, skała, most i gwiazda" oraz "Na początku", w których czytał teksty Pisma św. w języku greckim, staroecerkiewnym i polskim. Duchowni trzech Kościołów, wśród nich ks. Drabiuk, byli także lektorami Palmów na - mającym charakter misterium - otwarciu wystawy "Miasteczko na Jurze" w Miejskiej Galerii Sztuki, po Plenarze "Jurajska Jesień", którego byłem komisarzem. Zaś mniejsi odwiedzali cerkiew w czasie prowadzonego przez mnie Plenaru Mięskiego.

Ekumeniczny rys częstochowskiego proboszcza prawosławnego wart jest szczególnego podkreślenia. Ujawnia się też w wypowiedziach dla Radia Jasna Góra. Wszystko to nabiera szczególnego znaczenia wobec tytułu budowanej w Częstochowie cerkwi: Ikony Częstochowskiej Matki Bożej, która powinna szczególnie łączyć oba Kościoły, ponad historycznymi doświadczeniami, zarówno w ogólnochrześcijańskiej, jak i polskiej perspektywie. Kult tej ikony jest też obecny w rosyjskim prawosławiu.

Nowa cerkiew w Częstochowie wzbogaca panoramę miasta. Jej bizantyjska architektura sześciuściennej kontrastuje, a zarazem współbrzmi, z neogotykiem sąsiadującego kościoła ewangelickiego, tworząc swoista ekumeniczna harmonię. Dzieło budowy takiej świątyni przez małą parafię zasługuje na szczególne uznanie. To bardzo ważne, że w duchowej stolicy Polski będą także w godny sposób reprezentowane wielkie tradycje chrześcijaństwa wschodniego.

Władysław Ratusiński



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĘTO KSIĄŻKI

Tradycyjne majowe święto książki, zorganizowane przez Bibliotekę Publiczną im. dr. Wł. Biegańskiego i Miejską Galerię Sztuki, miało w tym roku wyjątkowo rozbudowany program.

W ramach tzw. otwartych dni Biblioteki Publicznej („Biblioteka miejscem spotkań”) a następnie VI Dni Książki („Literatura. Miasto 2008”) odbyły się liczne spotkania autorskie, maratony czytania, spektakle i zajęcia plastyczne dla dzieci, projekcje filmowe i spektakle oraz tzw. akcje plastyczne.

Literatura była też głównym tematem III Częstochowskiego Kongresu Kultury a sam Kongres okazją do wręczenia odznak „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Przyznane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego wyróżnienia otrzymali: Krzysztof Pośpiech, Ireneusz Kozera, Małgorzata Chebel, Edward Staniowski, Jan Szyma, Teresa Malczewska, Danuta Króliszewska.





Fot. Z. Burda, L. Pilichowski

FRYZJER WIECZOROWĄ PORĄ

W ramach VI Regionalnych Dni Książki, zorganizowanych przez Bibliotekę Publiczną i Miejską Galerię Sztuki, częstochowscy ludzie pióra spotkali się podczas dwóch debat.

Czy Częstochowa inspiruje? – na to pytanie odpowiadali poeci: Mateusz Trzmiel, Tomasz Jamroziński, Tomasz Szewczyk, Marzena Pieńkowska i Aleksandra Michałowska.

Na początku debaty padła prośba o wskazanie miejsca związanego z Częstochową, które pojawiło się w wierszach uczestników, które ich zainspirowało. Odpowiedzi były różne: park Lisiniec, Aleje, amfiteatr położony na terenie dzielnicy Północ. Żadne z pięciorga poetów nie wskazało natomiast Jasnej Góry. Thumaczyli, że inspiruje ich to, z czym wiąże się prywatne emocje, indywidualne przeżycia – na przykład miejsca, w których mieszkają. Marzena Pieńkowska przyznała wprost, że Częstochowa w ogóle nie jest dla niej źródłem inspiracji.

Inne wnioski? Bycie poetą z Częstochowy nie przeszkadza, ale też nie pomaga (choć, co zauważył również Ireneusz Kozera, naczelnik magistrackiego Wydziału Kultury, czasem zbitka skorzarzeniowa z „rymami częstochowskimi” bywa irytująca).

W Częstochowie nie funkcjonują grupy poetyckie, nie ma zintegrowanego środowiska – ale nie szkodzi, bo twórczość jest sprawą osobistą. Życie młodej poezji jest dziś związane bardziej z Internetem, niż z miejscem, w którym żyje poeta.

Zebrani podczas drugiej debaty prozaicy (Jakub Kasperkiewicz, Rafał Socha, Zbislav Janikowski) mieli, zgodnie z zawartym w tytule pytaniem, odpowiedzieć na pytanie „Jaka jest Częstochowa?” Pełna wad, ale ciągle narzekania na nią to przesada – to pierwszy wniosek z debaty.

Zbislav Janikowski opowiedział anegdotę o turyście, który zagadnął go wieczorem o otwarty zakład fryzjerski i to pytanie kompletnie zbiło pisarza z pantofelów. Ale brak wieczornych fryzjerów to nie najgorsza wada naszego miasta. Jest nią, zdaniem uczestników debaty, niedostatek lokalnych elit i słabość środowiska akademickiego. Poza tym – nieciekawcy wizerunek miasta w oczach samych częstochowian i na zewnątrz. Dyskutujący narzekali też na brak infrastruktury kulturalnej, na przykład wydawnictw literackich. – Wydałam już dwadzieścia książek, ale żadnej w Częstochowie – mówiła zasiadająca wśród publiczności pisarka Barbara Rosiek.

Wniosek z obydwu debat nasuwa się nieco paradoksalny – wiele gorzkich słów, które padły pod adresem Częstochowy nie zmieni faktu, że o naszym mieście można dyskutować z pasją i mądrze.



Co jest dowodem na to, że w Częstochowie tkwi potencjał, skoro miasto budzi takie emocje mieszkańców.

Aleksander Wierny

TRZY SIOSTRY

Jakub. M. Rawinis

Są takie sztuki, których wystawienie staje się dla teatru próbą. Umiejętnie wystawione potwierdzają klasę reżysera i zespołu, a nieudane – obnażają jego bolączki. Należą do nich wielkie dramaty Antoniego Czechowa. Ten rosyjski klasyk zdobył nieśmiertelność dzięki inscenizacjom Konstantego Stanisławskiego w Moskiewskim Artystycznym Teatrze Akademickim (MChAT). Stanisławski powszechniej w dziewiętnastowiecznym teatrze szarży i nienaturalności przeciwstawił podejście realistyczne, którego symbolem stała się tzw. metoda Stanisławskiego, polegająca na jak najwierniejszym przeżywaniu postaci. Czechow swe największe dzieła – „Czajkę”, „Wiśniowy sad”, „Wujaszka Wanię” i „Trzy siostry” – napisał z myślą o Mchacie. Utwory te pokazują fragment zwykłego życia: podniosłość sąsiaduje z przyziemnością, ścierają się ze sobą charaktery, a zamiast dynamicznych zwrotów akcji, która jest tu dyskretnie zarysowana, uwagę widza przykuwa wewnętrzne napięcie.

Jak do „Trzech sióstr” zabrał się zespół Teatru im. Adama Mickiewicza i reżyser Julia Wernio? To, czego można się było dowiedzieć przed premierą, nie nastrojało optymistycznie. Scenografia, zamiast realistycznego odwzorowania, miała się opierać o konstrukcję karuzeli. Wątpliwości wywoływała też kwestia kostiumów: na przykład oficerowie mieli występować w mundurach całkowicie fikcyjnych. Scenograf Elżbieta Wernio buńczucznie ogłaszała, że mundury nie muszą być



Fot. Piotr Dłubak

historyczne, bo „Trzy siostry” są ponadczasowe i dlatego nie ma znaczenia, co to za wojsko i z kim się bije, „tym bardziej, że u Czechowa idzie bić do Polski”. Nie wiem, skąd pani scenograf wzięła, że bohaterowie idą bić; ale trudno, od scenografa nie wymagajmy znajomości historii.

Nie będę głądził, że właśnie na tym polega ponadczasowość utworu, iż nie trzeba go za każdym razem przebieierać we współczesne ciuchy, oraz że gdyby realia nie miały znaczenia, to lepiej od razu zmienić bohaterom imiona, np. na Dzidek, Niuniek itp. Nie będę się czeptał, bo efekt ostateczny aż taki zły nie jest. Karuzela to bardzo interesujące rozwiązanie scenograficzne. Wprawdzie gdyby ktoś nie był uprzedzony, to dopiero na samym końcu przekona się, że to karuzela, niemniej pozwala ona na rozgraniczanie planów. W pierwszym akcie wewnątrz stoi stół i krzesła. Towarzystwo świętuje tam imieniny, w czasie, gdy interesujący nas dialog bohaterów odbywa się na pierwszym



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

planie. Kiedy indziej karuzela zmienia się w pokój Andrzeja (Maciej Półtorak), a w ostatnim akcie tenże Andrzej chodzi naokoło z wózkiem dziecięcym. Poza



Fot. Piotr Dłubak

tym dekoracje stanowi kilka krzeseł, fotel bujany oraz pianino, na którym i tak nikt nie gra.

Kostiumy też nie najgorsze. Jednego nie mogę darować – mundury nie mają pagonów, co w realiach rosyjskich oznacza służbę cywilną, a nie wojsko! Siostry ubrane są współcześnie, przy czym raczej zgodnie ze wskazaniami Cechowa: Irina (Katarzyna Mazurek) na białą, Masza (Agata Ochota-Hutyra) na czarno, i tylko Olga nie ma sukni nauczycielskiej, czemu trudno się dziwić w kontekście całej inscenizacji. Co się tyczy ubioru Nataszy (Teresa Dzielska) – ewidentną inspiracją była tu Doda. Czesława Monczka w niewielkiej roli niańki Anfisy ubrana jest bardziej na ludowo, zaś Andrzej Iwiński jako służący Fierapont paraduje w kraciastej koszuli i wędkarskiej kamizelce.

Tak to wyglądało. A jak było grane? Trzeba zapisać pani reżyser na plus, że adaptacja jest wierna oryginałowi. Największe zaskoczenie to wejście Rodego z Fiedotikiem (Robert Rutkowski i Bartosz Kopeć) grającym na gitarze w drugim akcie – wyglądali jak latynoscy muzycanci. Cechowowskiego realizmu w „Trzech siostrach” Julii Wernio trudno jednak szukać. Pomijam takie sprawy, jak Irinę leżącą na stole czy aktora, który patrzy na jedną postać, a mówi do drugiej. Zamiast żywych ludzi z problemami, aspiracjami i miłościami widzimy aktorów recytujących kwestie. Nie przejmujemy się tęsknotą za Moskwą, a co najwyżej tym, że Olga jest zmęczona po radzie pedagogicznej.

Już trochę nudzi mnie powtarzanie, jakim wybitnym aktorem jest Adam Hutyra. Na szczęście tym razem pozwilił mi napisać inaczej, bo jego rola pułkownika Wierszynina jest zaledwie poprawna, a w pewnych momentach nawet zmanierowana. Znacznie lepiej wypadł Piotr Machalica w roli doktora Czebutykin, ociążałego, zmęczonego życiem i na swój sposób ironicznego – właściwie to on jest gwiazdą przedstawienia. Nieźle wypadła reszta wojska – tylko, że w rolach hulałów pewna przesada jest nawet wskazana. Jedną z najlepszych kreacji stworzył Iwiński w roli głuchego dziada Fieraponta. Półtorak-Andrzej w podkoszulku wystającym spod swetra przypo-



Fot. Piotr Dlubak

mina do złudzenia Kusego z serialu „Ranczo” i gra też serialowo, ale ma parę lepszych momentów, jako to rozmowy z wyżej wspomnianym Fierapontem. Nieźle wypadł Antoni Rot jako brat-lata Kulygin. Natasza początkowo epatuje przaśnym erotyzmem, a mimo to jest zaskakująco bezpłciowa, brakuje jej bezczelności. Poprawia się pod koniec, kiedy robi się z niej istna Doda już nie tylko z ubioru, ale i z zachowania.

Zaraz, a trzy siostry? Najgorsza bez wątpienia jest Irina. Jeżeli wśród bohaterów znajdują się żołnierze, to nie trzeba zaraz szarżować! Tymczasem gościnnie występująca Katarzyna Mazurek, jeśli gra realistycznie, to chyba postać cierpiącą na ADHD. Kończący drugi akt przeraźliwy skrzek „Do Moskwy!” jest najbardziej żenującym momentem spektaklu. Olga nie wybija się ponad przeciętność. Największe wrażenie robi Agata Ochota-Hutyra, czyli Masza, której gra może i jest przesadna, ale widać w niej autentyczne emocje. Trudno mi było przejść się uczuciami innych postaci, choć darły się donośnie. Wyjątek stanowi Fiedotik wrzeszczący, że się spalił, ale tu akurat sytuacja uzasadnia ryk.

Słowo o muzyce: napisał ją Piotr Salaber, i to w sa-

mych Petersburgu. Wypada nastrojowo i dobrze podkreśla typowy dla dramatów Czechowa nastrój niepokoju. Może nawet to ona służy w przedstawieniu za protezę emocji, których nie zawsze dostaje w grze aktorskiej.

O dziwo, suma powyższych składników wypadła lepiej, niż każdy z osobna, bo spektakl – jednak – ogląda się z zainteresowaniem. Czy to sprawa sztuki reżysera, czy może Czechow broni się sam? Jak by nie było, uważam, że potencjał „Trzech siostr” został nie do końca wykorzystany. Najlepszy dowód – że drugi, a nawet trzeci plan wypadają bardziej przekonująco niż bohaterki tytułowe, zaś aktorzy co i raz sprzeniewierają się podstawowej zasadzie grania Czechowa: że mają przeżywać, a nie grać.

Przed spektaklem dyrektor Dorosławski opowiadał w tradycyjnym spiczu, że dramat Czechowa to zawsze sprawdzian dla teatru, a „Trzech siostr” jeszcze na częstochowskich deskach nie było. Cóż wynikało z tego sprawdzianu? Wynikło, że nasz zespół, mimo wieloletniego doświadczenia, ciągle musi nad sobą pracować.



Fot. Piotr Dlubak

Marek Pernal

miasto bez planu

miasto bez planu i oblicza przetacza się
co rano z chrzęstem i duszącym oddechem spalin
pod moimi zmęczonymi oczami
wielorybie cielska zielonkawych
wieżowców obrastają chmurą handlarzy
i żebraków dworce o tak te mają swój
koloryt o świcie wypływają przeżute w nocy
sylwetki ludzi bez marzeń i historii auto
burmistrza zajmuje jak co dzień swe miejsce
w ciżbie pojazdów pełną ulicami szef
policji podejmuje kolejną nieudaną
próbę okiełznania żaloszny matador
rzeczywistości zegary tak te znają
swój czas przyspieszają tempo
rynek chronometrów odnotowuje
dalszy wzrost sprzedaży marny asfalt
mięknie od upału palarnie kawy
i zwłok mają coraz więcej pracy

Opus funebris

Gdy po siedmiu dniach Wielka Woda
wróciła do swych łożysk
i zwróciła Miastu niestrawione
Konservatorium
ujrzałem na zamartwiałym dziedzińcu
spiętrzone cielska fortepianów
o skórze zmatowiałej nalotem włosów
i pobrużdzone ospą pleśni
niezdolne śpiewać
niezdolne jęczeć
wzdęte treścią
rzecznych trzewi
szczyrzyły pożółkłe klawiatury
wybrzuszone przedśmiertnym grymasem.
I dostrzegłem ludzi co w rozpacz
stąpali wokół zmartwiałych postaci
bacząc bezradnie by nie nadebrać
na rozrzucone w bezładzie nuty
Apassionaty.
Na podwórzec powoli wciągano
zwłoki harf o rozwianych strunach.

Praga, sierpień 2002

Marek Pernal urodził się w Częstochowie w 1956 r. Uczęszczał do II Liceum Ogólnokształcącego im. R. Traugutta. Do szkoły chodził ulicą Buczka, Braci Domagalskich, III Aleją aż do placu Biegańskiego, a potem prosto jak strzełił Kilińskiego, ze zwiększoną uwagą na skrzyżowaniu z aleją Lenina. Po maturze w 1974 r. studiował astronomię i historię na Uniwersytecie Warszawskim. Po 1989 roku pracownik centralnych urzędów administracji państwowej. Obecnie mieszka w Hiszpanii.



Fot. Marek Pernal

Barceloneta (Barcelona)



Fot. Marek Pernal

Świat na Moście Maneša (Praga)

W GUBERNI GENERALNEJ

Tadeusz Gierymski

Z okresu okupacji dużo pamiętam, lecz jeszcze więcej wyparowało mi z pamięci. Po wkroczeniu Niemców do Skierniewic wszystko oglądałem oczami dziecka. Przede wszystkim zdumiała mnie potęga militarna wroga: samoloty, czołgi, samochody transportowe dla piechoty, artyleria... I, wokół dworca PKP, olbrzymie dziury w ziemi po bombach, kilkumetrowej głębokości. Przyglądałem się Wehrmachtowi z wrogością i ciekawością.

Po powrocie ze wsi mieszkaliśmy nadal w partelowym domku łączącym tuż przy torach kolejowych. Mieliliśmy kilka pokoiów, jeden zajmował komendant ochrony kolei (Bahnschutz). Dzięki temu lokatorowi mogliśmy mieszkać w budynku PKP. Mało tego, oddaliśmy mu radio, z którego potem słuchaliśmy audycji z Londynu. Ów Niemiec pochodził z Nadrenii i był antynazystą. Mówił o tym wprost mojej babci (po kądzieli). Była Bawarka, urodziła się w okolicach Monachium, w młodym wieku wyemigrowała wraz z rodzicami do Kongresówki (Płońsk), wyszła za mąż za Polaka i uległa całkowitej polonizacji. Przykładem niech będzie fakt, że jej syn zaciągnął się do Legionów i poległ na Polesiu. Z tego powodu, na początku lat trzydziestych, wyróżniona została w Wilnie wysokim odznaczeniem przez marszałka Piłsudskiego. Jej syn Stanisław Gołański, gdy zginął, nie miał jeszcze 18 lat.

Babcia przydała się w innych okolicznościach. W jeden z pierwszych dni października 1939 roku, kiedy przyszła do nas niemiecka policja i dokonała rewizji. W ogrodzie stała niewielka szopa. Na jej stryżku Niemcy znaleźli kilka polskich karabinów. Zostawili je tam zapewne nasi żołnierze, ale my o tym nic nie wiedzieliśmy. Sytuacja była poważna, dopiero interwencja babci zażegnała nieszczęście. Niemcy odeszli. Jednakże nazajutrz rano zobaczyłem podjeżdżającą do naszego domu bryczkę z siedzącym na koźle niemieckim żołnierzem. Miał zawieźć babcie do landrata (starosty). Niemiecki dostojnik namawiał ją (miała już ponad 80 lat), aby przyjęła obywatelstwo niemieckie. Odmówiła. Wróciła jednak do domu cała. Wkrótce wyjechała do swojego syna (mojego wujka) w Warszawie, gdzie był lekarzem. Natomiast wobec całej naszej rodziny zastosowano śmiesznie małą karę: musieliśmy z peronu dworca zbierać śmiecie. Terror hitlerowski w Skierniewicach jeszcze się nie

rozpoczął. Papiery zbierałem i ja. Dopiero w 1940 roku niemieccy żandarmi rozstrzelali mojego kolegę, starszego ode mnie o dwa lata.

W tym czasie rozpocząłem naukę na tajnych kompletach, chociaż miałem za sobą zaledwie 4 klasy szkoły powszechnej. Kurs gimnazjalny nie był dla mnie trudny z wyjątkiem matematyki, przy nauce której konieczna jest ciągłość logiczna.

Niemcy wyrzucili nas z domu w mieście. Przenieśliśmy się do Strzybogi (ciekawa etymologia nazwy wsi), oddalonej od Skierniewic o 5 kilometrów. Najpierw jeździłem rowerem, potem chodziłem pieszo, gdy na jazdę rowerem trzeba było mieć specjalną przepustkę. Z czasem, gdy w mieście było coraz niebezpieczniej (aresztowania, strzelaniny, sprawdzanie dokumentów), rodzice zakazali mi chodzenia do miasta. Raz na tydzień udawałem się jednak do biblioteki, gdzie wyprosiłem, żeby dawano mi jednorazowo trzy książki.

Mimo nasilających się okropieństw życia pod okupacją był to czas dla mnie szczęśliwy: żyłem na wsi, wśród uroków przyrody, mogłem czytać książki, wafęsać się po lesie i uczyć się. Nauka była wówczas dla młodzieży objawem patriotyzmu.

* * *

Trzeba by książki, żeby opisać długi okres okupacji. Poniżej przedstawiam niektóre wrażenia i przeżycia, które tkwią w mej pamięci do dziś. Nie stanowią one ciągu chronologicznego, są raczej obrazami, które zachowałem pod powieką.

Mglisty, bezwietrzny dzień. Wracam z miasta. Mijam żydowski cmentarz. Widzę na nim gromadkę ludzi. Niosą zmarłego do grobu. Nagle orszak żałobny rozbiega się. Po chwili żałobnicy wracają... To rytuał pogrzebowy. Żydzi mieli już swoje getto w mieście, ale było ono jeszcze otwarte, mogli z getta wychodzić, nosili jednak na ramieniu gwiazdy Dawida.

Idę do biblioteki. Obok Sejmiku – z szerokim uśmiechem starszy pan o bujnych, ale siwych włosach. Był to kierownik szkoły powszechnej, przedwojennej, do której chodziłem w Skierniewicach. Zapytał, co robie, czy się uczę w konspiracji? Pamiętam, że niosłem wtedy książkę przygodową Karola Maya „W Kurdystanie”. Staliśmy na ulicy w południowym słońcu. Po drugiej stronie jezdni szło wolno dwóch niemieckich żandarmów z charakterystycznymi blachami na piersi. Dlaczego to banalne wydarzenie wbiło mi się tak mocno w pamięć?

Z ojcem w Warszawie. Tramwajem jedziemy do rodziny. Patrzę przez szybę. Widzę mur z cegły. Pod murem wyrzeźbiona dziura. Przeciska się przez nią umorusany chłopak. Innemu nastolatkowi „granatowy policjant” wytrząsa spod bluzy ziemniaki. Tramwaj nie zatrzymuje się, szybko mija cypel warszawskiego getta.

Obrazy, obrazy – migawki filmowe wciąż cisną się do oczu... Z ulicy Rawskiej wchodzę na Rynek. Naprzeciwko Magistratu szubienica i sześciu wisielców. Jesienny wiatr porusza ciałami. Moje przerażenie i ucieczka w boczną uliczkę.

Zimą chłodno i głodno. Ojciec nie pracuje. Matka chodzi po wsi i wysprzedaje co się da: od maszyny do szycia Singera po rodzinne pierścionki i łańcuszki. Żywność była wtedy najcenniejsza. Najbardziej w życiu smakował mi czarny chleb na kartki, z którego wystawały plewy. W pierwszych latach okupacji głód doskwierał całej naszej rodzinie. Nie było też opał do kozy, czyli małego blaszanego piecyka, co stał w izbie. Zimy w czasie wojny były srogie i mroźne. Nie było węgla, ale blisko był las. W lesie jednak często polowali Niemcy, penetrowali go gajowi. Wybraliśmy dzień, gdy hulał potężny wiatr i szalała śnieżycza. Od gospodarza wypożyczyliśmy szerokie sanie. W lesie było ciszej. Ja piłowalem uschnięte sosny, brat rozglądał się wokół i nasłuchiwał. Drewno na sanki i do domu! Śnieg zasypywał nasze ślady. Tak czyniliśmy w kolejne zimy. W dwu izbach było wówczas ciepło.

Późnym latem 1943 roku zaczęło coś wybuchać w lasach. Wchodziłem po drabinię do gołębi, gdy zobaczyłem na niebie pocisk w kształcie grubego cygara. Gdy to „coś” było nad lasem, nastąpił huk i „cygaro” rozpadło się na dziesiątki kawałków, które przypominały strzępy czarnej, smolistej papy. Co to było? Po latach myślę, iż Niemcy wypróbowywali w Polsce swoje sławetne rakiety V1 i V2.

Od rana szosą jadą furmanki z Żydami do Rawy Mazowieckiej. Z getta do getta. Bez obsady hitlerowskiej. Nie widać młodych mężczyzn. Wyłącznie kobiety, dzieci, starcy w chałatach i charakterystycznych kapeluszach. Przybiega zapłakana kobieta i prosi o coś dla dzieci. Co mogliśmy dać? Dwie kromki chleba posypane cukrem.

My sami zresztą na co dzień używaliśmy sacharyny, cukier zaś tylko od święta.

Niewielka rzeczka wiję się meandrami. Nad nią drzewa, które dają osłonę przed żarem słońca, przeważnie olchy. Ja z wędką. Latają różne owady: pszczoły, osy, ważki o długich skrzydłkach. Siedzę godzinami nad wodą. Połowy są kiepskie, zaledwie drobne kiełbiki i czasem większa różowołuskowa płotka. Jednak na kolację dla całej rodziny to rarytas.

Siedzę przy oknie. Las z obu stron. Naraz z lasu wynurzyła się jakaś postać. Szła ścieżką wiodącą do naszej chałupy i dalej do szosy. Po minucie, dwu, minęła okno. Ze zdziwieniem zauważyłem młodą, bardzo elegancko ubraną kobietę, z woalką na twarzy. Przeszła obok okna zacierając z zimna ręce... Nie miała wierzchniego okrycia. Kim była? Jak się dalej potoczyło jej życie? Nie wiem tego do dziś. Przymuszałem, że była nią Żydówka. Ale skąd to balowe ubranie? I to podczas niskiej, zimowej temperatury.

Inny obraz w roku 1944. Na mapie nieba, bardzo wysoko, dziesiątki, setki samolotów. Wyglądały jak chrabąszcze. Między nimi kluczyły, przemykały się zwinniejsze myśliwce. Mogły to być tylko maszyny alianckie. Dokąd i skąd leciały – nie mogłem wiedzieć.

Kilka dni po wybuchu Powstania Warszawskiego – nad horyzontem widać pełzające smugi dymu. Płonęła stolica. Dopalał się też ostatecznie mój dziecięco-chłopięcy świat.



Zabawki, zabawki

Zbislaw Janikowski

Zabawki towarzyszą każdemu z nas od najwcześniejszego dzieciństwa. Zapominamy, jak wyglądały pierwsze grzechotki, nieco późniejsze pierwsze klocki, lalki, książeczki (to też zabawki), ale czy do końca? Czy nasza pamięć nie nie zachowuje? Jak mówił kiedyś Adolf Dymśa – „przypuszczam, że wątpię”

Z ręką na sercu oświadczam, że mojego najlepszego przyjaciela – Pluszowego Misia – z czasów wspólnie spędzonych w dzieciennym łóżeczku nie zapomniałem. Zdjęcia z tego okresu świadczą, że był. Trwał przy moim boku tak długo, że w końcu jego wizerunek (ten późniejszy) zapisał się w pamięci. Przetrwiał okropieństwa II Wojny Światowej, upadek Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej, wyzwolenie przez Armię Czerwoną, dokonał żywota już jako wolny miś, ale kiedy nie pamiętam. Pamiętam za to, jak zmienił się, jak stracił jedną rączkę, potem szklane oczko, wreszcie nóżkę. W miejscach amputowanych organów z korpusu sterczały niezbyt estetyczne zakręcone kawałki drutu - były to czas, gdy na ulicach widziało się wielu inwalidów wojennych, więc miś doskonale wpasowywał się w panujące warunki, w niektórych zabawach grał właśnie taką rolę. Gorzej było z jego futerkiem, miś najpierw z brunatnego zmienił się w rudawego świńskiego blondyna, a na dodatek futerko wytarło się, wyleniał, brzuszek był już tylko osnową, ta w końcu przetrzała się. Pozostał już tylko jeden krok – operacja; w jej wyniku ze środka posypały się trociny i tak miś zszedł.

Zabawki tamtego czasu niczym nie przypominały dzisiejszych. Nie było żadnych plastikowych kłoczków, laleczek, samochodzików ani innych cudeniek. Podstawowym zabawkarskim tworzywem było drewno i wycięte z niego przedmioty, pomalowane lub oklejone kolorowym zadrukowanym papierem. Takie były moje klocki, takie drewniane strażackie auto, na którym stały drewniane figurki strażaków. Nie lubiłem ich, bo co to za strażacy - gruba noga z dziurą do nasadzenia na drewniany trzpień na platformie samochodu, na dodatek strażackie uniformy były też nierzeczywiste, czerwone niby-spodnie, granatowa niby-kurtka ze złotymi guzikami i oczywiście złoty hełm na niby-głowie. Ręce też umowne; wszyscy jednakowej wysokości i grubości z różowymi niby-twarzami ozdobionymi zakręconym wąsem. Te pokraki budziły we mnie poczucie buntu, chyba nienawiści, zakopywałem je w piasku, topiłem w wannie; były to jednak daremne wysiłki, z dwunastu kilku przetrwało wszystkie tortury i prześladowania. Za jednego z nich dostałem nawet solidne lanie, bo łotr nie umiał zupełnie latać i wyładował na jednej z ozdobnych szybek w drzwiach do stołowego. Szybka oczywiście „poleciała” a wprawiona zastępcza, przezroczyście przez długi czas przypominała to przykre wydarzenie.

Pomocną okazała się dopiero nasza Pela, której zwierzyłem się ze strażackich problemów - od czasu do czasu, któregoś z „fojermanów” spalała w mojej obecności w kuchennym piecu.

Pela doskonale rozumiała moje intelektualne potrzeby, ubogi zabawkowy „warsztat pracy” mieszczący się w tekturowym pudle, i jak mogła wzbogacała i urozmaicała moje zabawy. W jej królestwie, kuchni, było przecież tyle atrakcyjnych sprzętów. Kredens pełen garnków, aluminiowe błyszczące i głębokie, a w ostateczności nawet i durszlak wspaniale imitowały żołnierskie hełmy (pamiętajmy, że trwała wojna), szczotka na kij udawala karabin, szufelka do węgla – saperkę, kłopot był tylko z plecakiem – nie było go czym zastąpić.

W wojskowych zabawach niezbędny był jeszcze dziadek, mój niezastąpiony podkomendny. W zabawach w księdza dziadek zmieniał się w ministranta. W użyciu były wtedy kolorowe ręczniki, serwetki, pęk kluczy, które z powodzeniem zastępowały szaty i sprzęty liturgiczne. Nie miałem odpowiedniego towarzystwa i w ten sposób ominęły mnie zabawy (jakże popularne) w doktora, a dziadek za żadne skarby nie dał się namówić na rolę pacjenta, może dlatego, że miał rupturę. Z kolei od kolegów slyszałem, że zabawy takie najlepiej udają się z dziewczynkami..

W owych czasach istniała cała gama zabawek wiklinowych, których (dziś może się do tego przynależać) bardzo nie lubiłem, a którymi niejednokrotnie mnie uszczęśliwiano. Co można zrobić z wiklinowym kółeczkiem na patyku czy wiklinowymi szpadkami do gry w serwo (taki ówczesny badminton)? Mogłem jeszcze zrozumieć dziewczęzińskie wiklinowe wózeczki czy lózczełka dla lalek, ba nawet wiklinowe mebelki, ale to nie były mebelki zabawki i zabawy.

Koniec wojny odmienił zabawkowy świat. Zaroiło się od cudownych żołnierzyków i to nie tylko ołowianych, bardzo statecznych i przeważnie stojących w postawie zasadniczej ewentualnie maszerujących jednym ołowianym rytmem. Prawdziwi byli gliniarni żołnierze w bojowych pozycjach, biegnący do ataku na bagnety, rzucający granatami, strzelający w różnych pozycjach: stojącej, kłęczącej lub leżącej, czy wreszcie maszerujący z towarzyszeniem wojskowej orkiestry. Do tego wojskowe samochody, armaty, czołgi, jak prawdziwe bunkry, zasieki i jeszcze inne wojenne badziewie, zacieraające się już w pamięci. Królową zabawek była

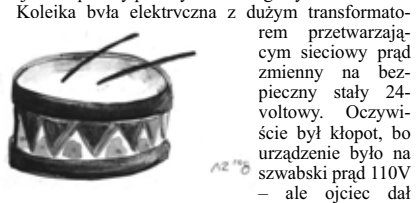


wykonana z blachy, napędzana sprężynowym kołem zamachowym, odkryta, pomalowana w ochronne barwy czteromiejscowa terenowa limuzyna marki „mercedes”. Proporcje tego samochodu nie pasowały do wzrostu żołnierzyków, ale czy w takich dziecięcych zabawach zwraca ktoś uwagę na taki w gruncie rzeczy mało ważny szczegół? Nie przeszkadzało nawet to, że dosyć szybko urwało się lewe tylne koło, przecież trzy pozostałe były dobre i całość bardzo dobrze służyła jeszcze przez długie lata. Jaki był koniec tego cudownego samochodu już nie pamiętam, odżywa jednak w mojej pamięci zawsze, gdy widzę jakiś stary wojenny film lub niemiecką wojenną kronikę filmową. Wiem też, że gdzieś jest schowany ostatni z glinianych żołnierzyków, pytanie tylko gdzie i kiedy ponownie znajdzie się w moich rękach.

Czas płynął, wyobraźnia podsuwała coraz to nowe pomysły, a możliwości wzbogacenia asortymentu zabawek były ogromne. Ojciec prowadził odlewnię sztućców aluminiowych, na które w powojennej biedzie było ogromne zapotrzebowanie. Do fabryczki na Kawiej zwożono złom z samolotowych wraków rozbitych w działaniach wojennych. Wśród pojętych i potrzebnych blach trafiały się istne skarby: śrubki, nakrętki, elementy przewodów hydraulicznych, każdy z tych przedmiotów prze odrobinię wyobraźni mógł grać rolę najbardziej wyszukanego wojennego sprzętu. I grał! Jeździłem tam na rowerze, sam prze pół miasta, jakże bezpieczną w owych latach trasą ulicami Dąbrowskiego, Jasnogórska, wałami pod most „Kacapski” i dalej do Kawiej. Proste! A potem z kieszeniami wyładowanymi aluminiowym złomem do domu, do wielkiego tekturowego stojącego za szafą pudła, które ku rozpaczy mamy z każdym dniem pęczniało i mimo, że aluminium nie jest niby ciężkie, po kilku kolejnych wyprawach na Kawią pudło nie dawało się ruszyć z miejsca. Jakaż jednak była wspaniała zabawa, gdy pół pokoju zastawiałem tymi cudenkami i glinianą armią! Trup stał się równie gęsto jak na prawdziwym froncie, jako że co rusz któryś z żołnierzy ginął bezpowrotnie rozdeptany na tym ogromnym pobojowisku.

Zabawy nabrały rumieńców, gdy pojawiła się elektryczna kolejka. Nie wiem, jak i gdzie ojciec zakupił to cudo. Podejrzewam, że tak jak i inne nietuzinkowe zabawki pochodziło z szabru – wtedy popularnej formy zaopa-

trywania wygłodzonego wojną rynku. Ludzie wyjeżdżali na „ziemię odzyskaną”, niektórzy jako pierwsi osadnicy, większość za wojennym ponemieckim łupem, czyli na „szaber”. Nieliczne pociągi wiozły poszukiwaczy przygód i zysków, a ci odważni grabili ponemieckie domy, więcej – całe wsie, miasteczka i miasta. Szabrowali (czytaj rabowali) wszystko: od dzieł sztuki, przez sprzęty gospodarce, pozostawioną przez uciekinierów odzież, pościel, naczynia gospodarcze, sztućce – wszystko, co mogło się przydać w zrujnowanym kraju. Tak też na targowiska trafiały „ponemieckie” wyszabrowane już na polskich terenach dobra a wśród nich zabawki. I tak do terenowego wojskowego „mercedesa” dołączyły niemilitaryzowane elektryczna kolejka i wspaniały parowy walec drogowy.



Kolejka była elektryczna z dużym transformatorem przetwarzającym sieciowy prąd zmienny na bezpieczny stały 24-voltowy. Oczywiście był kłopot, bo urządzenie było na szwabski prąd 110V – ale ojciec dał transformator do przewojenia w renomowanej firmie pana Stankiewicza (II Aleja, chyba pod 31.) i działało, wprawdzie najwyżej ze dwa razy, bo transformator nie wytrzymał przeróbki i szczeł w kłębach smrodliwego dymu. Mimo tego, a może dzięki temu kolejka stała się bardziej swojska, w zabawę nie wtrącali się już różni wujkowie a i ojciec stracił do niej serce. Za to ja miałem ją już na „własność”, nikt nie ingerował w moje zabawy i fantazje. Szybko odkryłem, że blaszane budki wagoników zamocowane na platformach odpinają się bardzo łatwo, że demontaż kół to fraszka igraszka, że elektrowóz pod zsuwanym dachem kryje jakąś przedziwną maszynę. Wszystko to rozszerzyło gamę zabaw o wspaniałe katastrofy, dało też nowe możliwości transportowania mojej armii, a w lecie, gdy cały przełogowy park pojazdów wywędrował do ogrodu i do zabawy włączyły się kilku kolegow – wtedy dopiero się działo! Okazało się przy tym, że wojenna niemiecka zabawkarska produkcja odporna jest na słońce i deszcz, że nie boi się piasku ani błota, że za każdym razem daje nowe nieznanne dotąd możliwości. Muszę się przyznać, że do dziś – jak ostatni Mohikanin – stoi na mojej półce blaszany wagonik z tej kolejki i że jest w dobrej kondycji technicznej i może wzbudzić, jak kiedyś, zazdrość u niejednego wyrosniętego i podstarzałego chłopca.

Parowy walec nie znajdował uznania w oczach mojej mamy – inne zabawki też nie, bo nigdy nie chciały się same posprzątać – a do tego był spora zawalidrogą. Walec po uruchomieniu zostawiał niemiłe plamy na wypastowanych parkietach. A wszystko za sprawą przemysłowego urządzenia napędowego, czyli autentycznej maszyny parowej. Walec miał wbudowany kocioł, który napelniało się wodą, pod kotłem umieszczony był specjalny palnik spirytusowy (na denaturat), odpowiednio przygotowana do pracy maszyna stała i czekała aż woda w kotle podporządkuje się prawom fizyki i zmieni



w parę, która poruszy tłoki i zmieni się w energię kinetyczną dającą napęd zabawce. I tu dochodzimy do źródła konfliktu z mamą. Maszyna jak każde prawdziwe urządzenie techniczne miała swoje tajemnic, podgrzewana woda zwiększała przecież swą objętość, początkowo kapała, potem kipiła, wreszcie szła (nadmiar) w prawdziwy parowy gwizdek. Jak przystało na prawdziwą maszynę parową, jej sprawność techniczna wynosiła zaledwie 30% i te procenty starczyły na poruszenie tłoków i przejechanie kilku metrów - przeważnie w zamkniętym kołowym obwodzie, bo takie możliwości w ustawieniu maszyny też były. W trakcie tej podróży mokry ślad znaczył przebytą drogę, drogę moich przewin - a co ja byłem winny, że wtedy nie było lakierów do parkietów tylko zwykła (na dodatek śmierdząca terpentyną) pasta do podłóg? Walec, mimo że imponujący, nie był moją ulubioną zabawką, widziałem za to, (ale nic nie mówiłem) jak chętnie bawili się nim tata z wujkiem. Wreszcie zniknął, a po latach dowiedziałem się, że była to sprawka mamy, która rozeźlona na ów cud techniki, wydała go jakiegś dalekiej rodzinie (dalekiej, żebym go więcej nie oglądał).

Jeżeli już z moimi zabawkami trafiłszy do ogrodu, to przyjrzymy się też ogrodowym zabawom. Tu królowa indiańskie szaleństwa, zmienione czasem w nieśmiertelną zabawę w złodziei i policjantów (czterech pancernych, i to samych Janków i ewentualnego psa, jeszcze wtedy nie wymyślono). Jasne było, że w takich zabawach potrzebna była broń i była. Różne karabiny i pistolety, często samoróbki wystrugane z kawałka drewna a nawet niemal jak prawdziwe drewniane pomalowane na czarno „pepesze” - tymi obdarował któregoś roku mnie i moich najbliższych kolegów Św. Mikołaj. Trzeba przyznać, że prześmiesznie wyglądał czerwonoskóry wojownik w pióropuszu z prawdziwych kurzych lub kaczych piór (kacze były bardziej kolorowe) uzbrojony w taki maszynowy pistolet i prawdziwą poniemiecką maskę „pegaz”, bo ta jakims cudem też znalazła się w moim arsenale. Miałem również, jak i inni chłopcy, prawdziwy „fiński” nóż, na którego ostrzu wytrawiona była jakaś wzniosła sentencja. Nosiło się go w skórzaney pochewce przypiętej do paska od spodni, a że nóż trochę wazył a pasek nie bardzo miał się na czym trzymać, to obciążał portki wraz z całym rynsztunkiem, a nóż - wzorem indiańskich wojowników - trzymało się wtedy między zębami. Ta pozycja była niewygodna, przeszkadzała bowiem w wydawaniu dzikich wojennych indiańskich okrzyków - widać zatem jak na dłoni, ilu trudności przysparzały niektóre dziecięce zabawki.

Gros zabaw odbywało się jednak w domu, domowymi zabawkami. Nie było żadnych klocków „lego” wymyślonych i zaprojektowanych przez super specjalistów. Tę lukę wypełniała inwencja bawiącego(cych) się, klocki były skutecznie zastępowane przez przeróżne przedmioty i tu wspaniale sprawdzały się pudełka po za-



pałkach - jakież z nich można było wznosić budowle a przy odrobienie talentu budować nawet samochody i pociągi (tworzywo: pudełka po zapalkach, nici i szpulki od nici, spinacze biurowe). W miarę porządkowania powojennego chaosu coraz częściej pojawiały się prawdziwe zabawki produkowane przez naszych rodzimych producentów, początkowo prywatnych, później uspołecznionych. Jako dziesięcioletek dostałem „małego mechanika” - pudełko z perforowanymi blaszkami, śrubkami, nakrętkami (wtedy były to muterki) miniaturowym kluczem do tychże i śrubokrętem. Załączona była oczywiście instrukcja z modelowymi konstrukcjami i sposobem obsługi tzn. rysunkami i instrukcjami jak należy trzymać ów klucz i jak kręcić śrubokrętem i w którą stronę, szczęście, że w tym przypadku są tylko dwie możliwości. Wszystko byłoby fajnie, gdyby muterki miały gwint, śrubki nacięcia na łebkach, a blaszek jako elementów konstrukcyjnych ciut więcej. Dobrze jednak, że można było cokolwiek budować i że w ogóle z tego coś wychodziło.

Na tym polu mnie i innych kolegów w kompleksy wpędał Krzysiek. Od znajomych z Ameryki, (jakich wiem, ale nie powiem) dostawał (a ściślej: jego mama) paczki z przeróżnymi darami, w których były również zabawki, a wśród nich takich, tyle że amerykański, „mały mechanik”. Tu pierwsza nieścisłość, bo mały w wymiarze ogromnej Ameryki znaczyło w wolnym przekładzie na nasze - przeogromny. Błyszczący chromem z nagwintowanymi tymi elementami, które mają być nagwintowane, z dodatkowymi mechanizmami, bloczków, przykładni zębatych, silniczków i ... Do tego konstruktorskie talenty Krzysia sprawiały, że wyczarowywał przedziwne, wręcz niesamowite mechanizmy i pojazdy a „jego” wielki pokój był jednym z najwspanialszych placów zabaw mojego dzieciństwa. Nie mówię o innych amerykańskich zabawkach, które podważały wiarę w wyższość naszego ustroju. W tajemnicy zdradzę jedną ze słabostek mojego kolegi - Krzysio uwielbiał zwierzątka (po dziś dzień mu to pozostało) a w owym czasie pasjonował się białymi myszkami. Jego domowa hodowla liczyła w porychach i kilkadziesiąt sztuk. Każda z myszek miała swoje imię i rodowód a protoplasta rodu - bodaj-





że myszka Pik, dożył sędziwego mysiego wieku nim odszedł do Wielkiego Manitu w Krainę Wiecznych Lowów. Czy zachowywały się rodowe mysie księgi nie wiem, spytam przy okazji. Nie dałbym sobie uciąć głowy, ale pamięć raczej mnie nie myli, ale chyba jeszcze w Traugutcie przynosił czasami na lekcję którąś ze swoich podopiecznych, czym mało nie spowodował zawału u naszej wychowawczyni – Madame i kilku (tych młodszych) nauczycielek: starsze (o ile takie w ogóle się trafiają) były odporne.

W krótkim czasie w ślad za „małym mechanikiem” podążył „mały stolarz” – ten zestaw był już bardziej skomplikowany, trudniejszy. Najważniejszym narzędziem była „laubzega”, czyli piłka do wycinania ze sklejk narzutowych na niej elementów. Nie szła mi ta robota, w krótkim czasie połamałem wszystkie dziesięć stalowych wymienionych piłek i wtedy ową okrutną piłę miałem z głowy. Za to przepiękny mosiężny młoteczek uchował się, może nie cały, a tylko jego stylowy obuszek, dziś oprawiony na nowo na pięknym drewnianym trzonku stanowi ozdobę moich nieużywanych zbyt często narzędzi. Po latach historia się powtórzyła, podobny prezent dostał mój syn, z tym że miejsce „laubzegi” zajęła „handsega” – ta też weszła w skład niezbyt często używanego zestawu domowych narzędzi i służy do dziś.

Miałem już przemilczeć sprawę bączka, a nawet całej rodziny bąków. Zaczęło się to niemal w najmłodszym dzieciństwie, gdy to w celu uszczęśliwienia mnie obdarowany zostałem bąkiem. Takie blaszane „ustrojstwo” (jak po latach dowiedziałem się z lekcji fizyki żyroskop, działający na zasadach żyroskopu i coś tam jeszcze) pomalowane było w kolorowe pasy, uruchamiano się to lub, jak kto woli puszczało w ruch poprzez naciskanie śrubowo skręconej rączki, czy na pewno rączki – niech rozstrzygną bąkowi fachowcy (nie mylić z fachowcami od bąków). Bąk zaczynał wirować wydając przy tym przedziwny odgłos ni to buczenia ni gwizdu – tu właśnie działały te tajemnicze siły, którymi potem gneębiono na lekcjach fizyki. Jak się wcześniej przyznałem, nie lubiłem tej zabawki i z niemalą satysfakcją doprowadziłem do jej ciężkiej awarii a nawet unicestwienia. Nie zdało się to na zbyt wiele, wkrótce uszczęśliwiono mnie następnym i tak w kółko, nie pamiętam, kto wygrał bączaną batalię.

Jeszcze gorszą zakalą był mały drewniany bączek. Ten należało napędzać specjalnym bacikiem. Tu obowiązywała procedura jak w instrukcjach wojskowych: rzemień bacika nawijało się ciasno na nacięcia na bączku, potem szybkim szarpnięciem odwijano rzemień z ustawionego na ziemi bączka i sprawnymi uderzeniami – podcięciami napędzało wirując bąk. Można tak było godzinami, ale nie ja, mnie to „nie szło” i już. Dużo lepiej spraw-

dził się rzeczony bacik w zabawie w dorożkarza, gdy to domowego kota zaprzęgiłem do dużego aluminiowego rondla – rondel miał dwoje uszu, jaka była uprzęż nie pamiętam. Poganiając kota bacikiem, jak przystało na prawdziwego dorożkarza i wydając przy tym przeciągłe komendy „wiooooo” i „prrrr” – osiągnąłem połowiczny sukces. Zaprzęg ruszył, hałas zdenerwował kocurą, który zdecydował nie bawić się więcej ze mną a może chcąc wymigać się z ciężkiej pracy schronił się na okiennym parapecie między babcinym asparagami. Szkoda ich trochę, bo już nigdy się nie wymłodziły, a kot się zbiesił i opuścił dom rodzinny.

Najlepszym z moich bączków był ostatni, do uprawiania hazardowej gry właśnie w bączka. Leży właśnie przede mną drewniany, nie wyższy od pudełka od zapalek, sześcioboczny bąk, którego pola oznaczone są tajemniczymi, niemal kabalistycznymi literami DS- daj stawkę, WS – weź stawkę, DP – daj połowę (puli), BP- bierz połowę, BW – bierz wszystko i wreszcie T – towarzystwo, co oznaczało, że wszyscy uczestnicy wpłacają do puli równowartość stawki. Puszczone w ruch bączek - jakich przemysłowych technik używano do tego celu – wskazywał, co los przyniósł a bankier trzymający pulę czasami „zarobil” czasami stracił. Oficjalnie grało się na kasztany lub cukierki (wyobraźcie sobie, jakie były wymiętoszone), ale i na pieniądze też – zrozumiałe, że zabawa nie znajdowała uznania w oczach dorosłych.

A dziś – wszystko gotowe, podane na tacy, wykonane w dalekich Chinach czy innym zamorskim kraju, podejrzewam, że niekochane a pożądane przez krótką chwilę, a czas trwania mody ...



Fot. z archiwum Autora, rys. Arkadiusz Zając

Warto przejrzeć/przeczytać



Stanisław Sojczyński i Konspiracyjne Wojsko Polskie / Tomasz Toborek. – Łódź : Instytut Pamięci Narodowej, 2007. – 273 s., [28] s. tabl.: faks., fot., 21 cm

Książka autorstwa Tomasza Toborka, pracownika łódzkiego oddziału IPN, to jedno z najważniejszych wydań na lokalnym rynku księgarskim. O Konspiracyjnym Wojsku Polskim, jednej z najważniejszych organizacji „Druhej Konspiracji” i jego komendancie pisano już wiele, jednak poprzednie publikacje, bazujące na dość fragmentarycznym materiale źródłowym, temu wyczerpać nie mogły. Każdy, kto interesuje się dziejami Polski po 1945 roku wie, że potrzeba jest niezwykle staranna kwerenda w archiwach i umiejętne opracowanie tego materiału. Tomasz Toborek, jeden z uczestników tej wielkiej kwerendy archiwalnej, wykonał pracę zasługującą na wielkie uznanie, docierając do wielu nieznanych dotąd dokumentów. Jedna uwaga – tytuł publikacji sugerować może, że jest biografia „Warszyca”, gdy w rzeczywistości jest to monografia stworzonej i dowodzonej przez niego organizacji. Monografia znakomita, którą polecić można każdemu.



Kierunki działań operacyjnych Służby Bezpieczeństwa wobec inteligencji technicznej na przykładzie kadry naukowej Politechniki Śląskiej i Politechniki Częstochowskiej / Mirosław Sikora // W : Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944-1989. – T. 5 (2007). – Rzeszów : Instytut Pamięci Narodowej, 2007. – S. 152-196

Publikacja Mirosława Sikory w 5 tomie „Aparatu Represji w Polsce Ludowej” to kolejny przyczynek do poznawania dziejów najnowszych Częstochowy. Przyczynek niesłychanie istotny, jak każda publikacja tego typu jest kroniką ludzkiej słabości, tchórzostwa, nikczemności, ale też odwagi i samozaparcia. Nie polecam tej publikacji ze względu na znajdujące się w niej nazwiska – osoby zainteresowane zapewne będą świadome, kogo publikacja dotyczy. Polecam ją z innego względu – na przyczyny, dla których ta czy inna osoba znalazła się w polu „zainteresowania” tak zwanych „służb”. Wystarczało regularne chodzenie do kościoła...



Mirowski Przełom Warty : przewodnik przyrodniczy / Stanisław Cabala, Cezary Gębicki, Krzysztof Pierzgalski, Jerzy Zygmunt. – Kamienica Polska : Ruch Inicjatyw Społeczno-Ekologicznych „Przytulnia”, 2007. – 88 s.: fot., mapy; 25 cm

Publikacja ze wszech miar godna polecenia. Przełom Warty przez Jurę na odcinku od częstochowskiej dzielnicy Zawodzie po mstowski Wancerców, opisany został z godną pochwały dokładnością. Kompetentnie przygotowany tekst uzupełniony został mapkami i bogatym zestawem zdjęć dobrej jakości. Książka ta powinna znaleźć się w podręcznej bibliotece każdego częstochowskiego turysty i miłośnika przyrody. Wydawnictwo przygotowane przez Ruch „Przytulnia” skomentować można jednym zdaniem – prosimy o więcej !



Studia Claromontana. T. 25 / red. nacj Janusz Zbudniewek. – Warszawa : Wydawnictwo OO Paulinów, 2007. – 740 s., [66] s. il. kolor.; 25 cm

Najnowszy tom jakże zasłużonego dla regionu częstochowskiego wydawnictwa i tym razem nie zawiodł. Szczególną uwagę zwraca obszerna monografia autorstwa Janusza Zbudniewka „Paulini wczoraj i dziś”. Dziejów zakonu paulinów dotyczą także publikacje Remigiusza Zmudy „Kasata klasztorów paulińskich na terenie Królestwa Polskiego w 1819 roku”, Bruno Kubicy „Pierwsza koronacja cudownego obrazu Matki Bożej Częstochowskiej w 1717 roku”, Bożeny Zakrzewskiej „Zagadnienia religijno-patriotyczne w literaturze jasno-górskiej do końca XVII wieku, Janusza Zbudniewka „W sprawie podstępnego uwolnienia Obrazu Nawiedzenia Matki Bożej Częstochowskiej w dniu 13 czerwca 1972 roku w świetle akt służby bezpieczeństwa”. Zagadnień z historii sztuki dotyczą cztery publikacje – Mariusza Karpowicza na temat fresku Biblioteki Jasno-górskiej autorstwa Giuseppe Viscontiego, Michała Wardzyńskiego o działalności XVIII-wiecznego rzeźbiarza Jana Solskiego. Leona Chałupki i Zbigniewa Białkiewicza o działalności na Jasnej Górze Stefana Szyllera oraz Barbary Furs „Rodzina Grottów w służbie Jasnej Góry na przełomie XIX i XX wieku”. Ciekawym uzupełnieniem 25 tomu jest autorefleksja Tadeusza Łukaszuka „Teologia uprawiana przeze mnie”, opracowanie Tamasa Guzika i Rudolfa Ary Fehervary o architekturze paulinów węgierskich, oraz wspomnienie księcia saskiego Johanna Georga o kulturze mnichów koptyjskich.

oprac. Zbigniew Stańczyk

Dni Częstochowy Zbislawa Janikowskiego

Elżbieta Hurnikowa

Przed kilkoma tygodniami ukazała się książka znanego częstochowianina Zbislawa Janikowskiego *Moje dni Częstochowy, czyli bedeker po Częstochowie moich wspomnień od roku 1939 począwszy*, wydana przez Muzeum Częstochowskie. Uroczysta promocja książki odbyła się w marcu tego roku w murach częstochowskiego Ratusza.

Pierwsze szkice zamieszczone w zbiorze publikowane były na łamach „Życia Częstochowskiego” i rozpoczęły długą wędrówkę Autora po zakamarkach miasta oraz zakamarkach pamięci. Wędrówkę, która zaowocowała relacją bardzo osobistą, a jednocześnie bogatą w szczegóły dotyczące powojennej historii Częstochowy i jej mieszkańców. W słowach wstępnych *Od Autora* czytamy: *Podkreślam, moja relacja jest zapisem tego, co zachowało się w pamięci, tego, co kiedyś widziałem, w czym uczestniczyłem, czego byłem świadkiem. Nie szukam potwierżeń faktów w archiwach, zostawiam to historykom, ja dzielę się z Szanownym Czytelnikiem moimi wspomnieniami, mam nadzieję, w miarę żywymi i barwnymi*. Założenie tego rodzaju leży u podstaw chyba każdego utworu wpisującego się w literaturę wspomnieniową. Mnie, zdeklarowanej wielbicielce c.k. kultury starego Wiednia, przychodzi jednak na myśl słowa rozpoczynające nostalgiczną opowieść Otto Friedlaendera, kronikarza życia w nadunajskiej stolicy w latach 1890-1914. Autor pisze we wstępie, że jego wspomnienia o dawnym Wiedniu na pewno różnią się od tych, jakie zachowali inni ludzie, ponieważ nie ma choćby dwóch osób, które by tę samą rzecz postrzegały w jednakowy sposób.

Jak zatem przedstawia Częstochowę Zbislaw Janikowski?

Wdrując wybranymi przez siebie szlakami, tworzy niejako własną „geografię” miasta, obszar, na którym rozgrywały się mniej lub bardziej ważne wydarzenia życiowe, a jednocześnie miejsca te wprowadzone zostały w kontekst szerszy, historyczny bądź obyczajowy. Opis zapamiętanej z dzieciństwa wyprawy do słynnej cukierni Zygmunta Gospodarka na rogu ulic Dąbrowskiego i Raclawickiej wzbogacony został nie tylko o wspomnienie niezrównanego smaku wyrobów tam sprzedawanych, ale także o charakterystykę ówczesnej klienteli kawiarni, „porannej”, „południowej” i „popołudniowej”, oraz o przedstawioną w skrócie historię tego lokalu na tle zmian po 1949 roku. Wraz z Autorem przemierzamy ulice, uliczki i place od centrum miasta począwszy, poprzez

Raclawicką, Kilińskiego, Zawady, Dąbrowskiego, Aleje, 3 Maja, Różana, św. Rocha, Waszyngtona, Siedmiu Kamienic, Pułaskiego, po okolice i teren Jasnej Góry. Poznajemy różne szczegóły „topograficzne” i zmiany zachodzące w krajobrazie rozbudowującej się Częstochowy (dawny i obecny układ ulic, wygląd budynków), zwiedzamy restauracje, redakcje gazet, szkoły, kościoły, zakłady fryzjerskie i firmy fotograficzne, sklepy, budki warzywne. Na „mozaikę zdarzeń” składają się przywołane z pamięci dramatyczne sceny z lat wojny i czasów powojennych (np. we fragmencie poświęconym siedzibie gestapo przy ul. Kilińskiego), ale też obrazki obyczajowe z życia szkolnego i studenckiego, gry i zabawy częstochowian żywiących upodobanie do jazdy na rowerze, wyścigów samochodowych, widowisk cyrkowych, wesołych miasteczek. Autor wspomina postacie popularne w Częstochowie (np. „Maćka” Jana Kuklińskiego, redaktora Płoweckiego, motocyklistki Ewy Calewskiej), ale rysuje też portrety niektórych mniej znanych mieszkańców (np. szewca Walentego Misztala czy „Ducha Zawad” pana Borowika).

Wspomnienia Zbislawa Janikowskiego cechuje godna podkreślenia umiejętność korzystania z zasobów pamięci oraz dar interesującego opowiadania, wsparty przytaczanymi dialogami (np. „pyskówka” w sądzie), fotografiami i okraszony poczuciem humoru. Opierając się na odtwarzanych szczegółach, Autor rejestruje zmiany, jakie zachodziły w Częstochowie na przestrzeni kilkudziesięciu lat – *By można było porównać*. Pozycja ta z pewnością stanowi ciekawy przykład literatury wspomnieniowej.

W treść książki wprowadzają polecający jej lekturę Janusz Pawlikowski, a całość kończą obiecująco brzmiące słowa: *Na razie koniec*. Należy zatem, zgodnie ze złożoną przez Autora obietnicą, czekać na ciąg dalszy.



W recenzji odwołuję się do książki O. Friedlaendera, *Letzter Glanz der Märchenstadt. Bilder aus dem Wiener Leben um die Jahrhundertwende 1890-1914*, Ring Verlag, Wien b.

Komu to przeskądzało?

Janusz Mielczarek

Nie wszystkie postacie na fotografii dobrze się kojarzą – mam na myśli wysokiego rangą funkcjonariusza partyjnego – co nie zmienia faktu, że moment uwieczniony na niej jest historycznie ważny dla Częstochowy. Osoba w środku fotografii, pod orłem, to pierwszy Wojewoda Częstochowski, dr Mirosław Wierzbicki, wręczający 2 czerwca 1975 roku nominacje dyrektorom wydziałów utworzonego dzień wcześniej Urzędu Wojewódzkiego.

Od dziesięcioleci elity intelektualne miasta postulowały przy różnych okazjach potrzebę samodzielnności regionalnej Częstochowy, której potencjał gospodarczy i ludnościowy predestynował ją do tej roli. Niestety, w większości wypadków przeszkode stanowiło specyficzne położenie miasta. Szansa więc „spadła z nieba” w maju 1975 roku, kiedy Sejm uchwalił ustawę o reformie administracji państwowej i utworzeniu w Polsce 49 województw. Jednym z nich było województwo częstochowskie.

Częstochowskie, jako jedyne na nowej mapie kraju, składało się aż z czterech peryferyjnych części dawnych województw: kieleckiego, łódzkiego, opolskiego i katowickiego. Powszechnie wiadomo, że im dalej od centrum, tym biedniej. Tak też było w tym przypadku. W skład województwa weszły w całości dawne powiaty: częstochowski, kłobucki, lubliniecki i myszkowski, prawie cały powiat oleski (bez dwóch gmin) z województwa opolskiego, większość powiatu włoszczowskiego (bez Włoszczowej i dwóch gmin) z województwa kieleckiego oraz dwie gminy z powiatu zawierciańskiego z województwa katowickiego, także pięć jednostek podstawowych z powiatu radomszczańskiego, dwie z wielunińskiego i cztery z pącejzańskiego, wszystkie z województwa łódzkiego.

Była to konfrontacja nie tylko różnych obyczajów, tradycji i poziomów gospodarowania, ale także terenów – sięgając wstecz – o różnej przynależności państwowej. Przeważały ziemie dawnego zaboru rosyjskiego. Lublinieckie weszło w granice Polski międzywojennej z zaboru pruskiego, a Oleskie i Dobrodzień to ziemie odzyskane po roku 1945. Najwięcej jednak problemów, zarówno dla władzy administracyjnej, jak również dla ludności, przyniosło podzielenie przez autorów reformy powiatów granicznych. Było to typowa arogancja urzędników-reformatorów, którzy w podobny sposób knocili następne reformy, także tę z roku 1998.

Siedzibą Urzędu Wojewódzkiego był budynek przedwojennego Starostwa, a po wojnie Urzędu Powiatowego przy ul. Sobieskiego 7, który w latach 1977-1979 rozbudowano o dwa piętra. Budynek na początku nie pomieścił wszystkich wydziałów. Były one także rozlokowane w innych obiektach miejskich, a dwa z nich: rolnictwa i handlu, w pierwszym okresie ulokowano w Kłobucku. Wyposażenie i meble pochodziły z dawnych urzędów powiatowych, z których w przeważającej części rekrutowała się także kadra kierownicza. Warto w tym miejscu zauważyć, że ówczesny Prezydent Częstochowy, Ryszard Matysiakiewicz, zastrzegł u wojewody, aby do administracji wojewódzkiej nie przyjmował pracowników częstochowskiego urzędu miejskiego. Procentowało to potem przez lata niechęcią tego środowiska do administracji wojewódzkiej. Szczególnie dworowano sobie z kadry przybyłej z Myszkowa, mającej preferencje przez układy partyjne. Ironizowano więc głośno i powszechnie: zamienię wyższe wykształcenie na myszkowskie pochodzenie.

Zostawiając sporo ciekawostek z tego okresu na inne okazje, godzi się wymienić kolejnych wojewodów częstochowskich: 1975-1980 – dr Mirosław Wierzbicki, 1981-1990 – Grzegorz Lipowski, 1990-1994 – Jerzy Guła, 1994-1998 – Cezary Marek Graj, 1998-1999 – Szymon Giżyński.

Warto sobie zadać pytanie, czy 49 województw w Polsce to było TO? Nie, ale przy proponowanym podziale na 25 jednostek Częstochowa miała szansę. Niestety, skrzyknieni przypadkowo obrońcy województwa robili to byle jak i bez przekonania, a nasi sejmowi idole, zmieniwszy partyjnymi obietnicami, poza jednym – Jackiem Kasprzykiem – głosowali jak im przykazano. Większość „publisi”, rozżalona na urzędasów, których trzeba tępić, ocknęła się „z palcem w nocniku” kilka tygodni po fackie.

Katowice grały więc z satysfakcją bękartą, który miał czelność przez 23 lata istnieć im pod nosem (przyglądałem się temu), co szczególnie odczuła była wojewódzka komenda policji i Urząd Wojewódzki. Pierwszy urzędujący po reformie Wojewoda Śląski przyrzekł, że zrobi z Częstochowy wieś, i choć odszedł bez chwały, jego następcy i decydenci śląskiej władzy samorządowej idą w jego ślady, co przez minione osiem lat udowadniają mieszkańcom „peryferyjnego zadupia” (wg tych panów), zwanego dumnie Częstochową.



WIOSNA

Wiosna buchnęła przepięknie i bogato. Obrodziła nam natychmiast targami i kiermaszami, festiwalami, przeglądami, koncertami. Sypnęła pięknymi dziewczynami. Tylko służby miejskie, jak zawsze, dały się zaskoczyć...



Fot. Zbigniew Burda

SYPNĘŁO NAGRODAMI



Fot. Leszek Pilichowski

W konkursie Fasada Roku główną nagrodę w kategorii „Budynek po renowacji” zdobyła kamienica przy ulicy Katedralnej 8 w Częstochowie.

W jednym z najważniejszych konkursów marketingowych „Złote Formaty 2008”, organizowanym w ramach „Festiwalu Promocji Miast i Regionów”, projekt „Tworzymy Autoportret Częstochowian” zajął prestiżowe, trzecie miejsce - w kategorii „Wydarzenie specjalne”.

Drewniany spichlerz z XVIII w., stojący na zamkowych błoniach w Olsztynie, otrzymał tegoroczną nagrodę Generalnego Konserwatora Zabytków - za wzorową rekonstrukcję obiektu w ogólnopolskim konkursie „Zadbany Zabytek”.

W spichlerzu działa stylizowana na karczmę restauracja, serwująca lokalne przysmaki. W planach jest uruchomienie muzeum etnograficznego, pokazującego rękodzieło oraz sprzęty domowe używane kiedyś w okolicach Olsztyna.



Stajnia Biały Borek została laureatem ogólnopolskiego konkursu dla „Najlepszego Konnego Gospodarstwa Agro-Eko-Turystycznego”. Zainteresowani wiedzą, że poza hippiką Stajnia organizuje liczne imprezy kulturalne.

MUZEALNA POTĘGA



Fot. Leszek Pilichowski

Częstochowa wyraźnie ma muzealną potęgę. W połowie maja otwarto w Parku im. S. Staszica stałą wystawę i Muzeum Górnicztwa Rud Żelaza.

Podobne Muzeum już w naszym mieście istniało. Utworzono je w zbudowanych w latach 70. XX w. pomiędzy pawilonami wystawowymi, podziemnych korytarzach odtwarzających dawne wyrobiska ko-

palniane, wyposażone w sprzęt górniczy pochodzący z zamykanej wówczas kopalni rudy żelaza "Szczekaczka". Obiekt wyremontowano staraniem władz miasta Częstochowy w latach 2006–2007. Wystawa przypomina, że kiedyś okręg częstochowski był ważnym punktem na mapie górnictwa rud żelaza w Polsce.

JAZZOWY KWIECIEŃ



Fot. Leszek Piłichowski

Tegoroczny Hot Jazz Spring w Częstochowie objawił nam nowe oblicze – obok formacji grających jazz tradycyjny pojawili się przedstawiciele innych licznych nurtów tej muzyki. Rozszerzenie formuły festiwalu wydaje się kierunkiem słusznym i oczekiwanym przez fanów tej muzyki.

CCC

Wielce dla Częstochowy zasłużony chór akademicki Politechniki, pod dyrekcją Janusza Siadlaka, występuje już pod nową nazwą - Collegium Cantorum Czestochoviensis. Zespół szczęśliwie znalazł sponsora w postaci urzędu miejskiego i jego historia nie zakończy się na trwających od 20 lat występach.

STO LAT!



Fot. Piotr Dłubak

Zna i bardzo popularny aktor częstochowski, Michał Kula, obchodził jubileusz pracy artystycznej.

PAMIĘCI MARSZAŁKA



Fot. Janusz Piernikarski

W dorocznym zjeździe szkół noszących imię Józefa Piłsudskiego, organizowanych w rocznicę jego śmierci, uczestniczyła po raz pierwszy delegacja szkoły w Częstochowie. Na fot. poczet sztandarowy Gimnazjum nr 6 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy sarkofagu Komendanta w krypcie Srebrnych

Dzwonów na Wawelu.

PAMIĘCI TERLECKIEGO



Na budynku II LO im. Romualda Traugutta odsłonięto tablicę upamiętniającą jej absolwenta, znakomitego polskiego pisarza - Władysława Lecha Terleckiego. Okazją była 75. rocznica urodzin pisarza. Tablicę odsłonili wdowa po pisarzu – Lucyna Terlecka i Prezydent Częstochowy, Tadeusz Wrona.

Sylwetkę wybitnego częstochowianina przedstawiliśmy w poprzednim numerze A3.

DNI ASTORA PIAZZOLLI



Fot. Leszek Piłichowski



SZCZĘŚCIE

*Szczęścia, och szczęścia! Świat cały wola,
Wielcy i mali, mądrzy i prości,
Jaką ma postać? człeka? aniola?
Kwiatka paproci? laurów mądrosi?
Gdzie się ukrywa? jak doń ścieżka?
Czy po przymusie? czy po swobodzie?
O! może szczęście prawdziwe mieszka
W pieśni, w marzeniu... w zamkach na lodzie!*

Ta tchnąca prostotą poetycka definicja szczęścia Jana Chęcińskiego jest mottem wystawy „Szczęście – sposoby zapisu”, otwartej w trzynasty dzień maja 2008 w Bibliotece Głównej im. Jana Długosza, z inicjatywy i potrzeby serca dyrektor, Pani Alicji Raczynskiej.

Jest to metafizycznie rozedrgana słońcem, uśmiechem, radością ekspozycja reprodukcji obrazów m.in. Jacka Malczewskiego, Józefa Mehoffera, Władysława Podkowińskiego, Teodora Axentowicza, Stanisława Wyspiańskiego, Rembrandta, Henri Matisse, zdjęć Wojciecha Prażmowskiego, Anne Geddes i George'a Barrisa, książek z bogatych i cennych zbiorów Biblioteki, podzielonych wedle klucza naukowego (poczynając od Seneki i Św. Tomasza z Akwinu przez Władysława Tatarkiewicza do Ireneusza Światały), poetyckiego (tomiki wierszy) i wizualnego (albumy malarskie) oraz stanowiących rodzaj przewodnika po niej cytatów z m.in. Kazimierza Wierzyńskiego, Juliana Tuwima czy Francois'a de La Rochefoucauld.

Maj jest miesiącem bujnej, rozkwitającej wiosny, pełnym pachnących konwali, kojarzącym się z miłością i szczęściem właśnie, tak więc wystawa jest w założeniu, można rzec, terapeutyczna, ma przesłonić szarość ustępującej zimy, odwrócić uwagę od nieuniknionego przemijania, smutków codziennego życia i pozwolić zatrzymać się na chwilę kilka nad pięknem świata, niekoniecznie będącego kolorowym ogrodem, czy wyspą miłości, bo brudne i zaniebane podwórko z wieszakiem do trzepania dywanów, na którym radośnie obracają się, niczym cyrkowi akrobaci, dzieci, pozwala i tu zobaczyć szczęście.

Koloryt i słoneczne wibracje większości reprodukcji urzekają, słowa piękne cytowanych poetów zatrzymują na chwilę zadumy, co łącznie sprawia, że ta chwila staje się chwilą odrucia, oczyszczenia, pełnego relaksu. Warto to przeżyć.

Joanna Grochowska



GOŁO, NIEWESOŁO

Dłuższy czas hulały po naszym mieście dziwaczne plakaty i banery reklamujące spektakl pt. „Goło i wesolo”. Krzykliwość plakatów (a i brzydota) choć wzbudzały niesmak, nie zostały głośno oprotowane. Korektę zastosowano tylko w gablocie przed



wejściem do Filharmonii Częstochowskiej. Ktoś skrupulatnie nakleił pasek białego papieru na plakat – zasłaniając kontrowersyjne fragmenty przed oczami przechodniów, melomanów i odbiorców wyższej sztuki.

Ciekawostka polega jednak na tym, że to właśnie w sali filharmonii spektakl był pokazywany. Więc co? Gospodarze chcieli dać nam do zrozumienia, że wstydzą się takich przedstawień? Ale udostępniają salę na imprezę, ponieważ pecunia non olet? Hipokryci!

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 9

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

Z URZĘDU

Swoje wspomnienia wydał Eryk Gwizdała, pracownik urzędu miasta. Wydawałoby się, że skromny, niewyraźny, niczym się nie wyróżniający biuralista nie może mieć wiele ciekawego do powiedzenia. Okazuje się jednak, że Gwizdała na początku lat dwudziestych należał do konspiracyjnej Rady Pivnej, która postawiła sobie za cel oderwanie Stradomia od Polski i utworzenie „Państwa Browarnego”. We wspomnieniach można odnaleźć całą fascynującą historię tego przedsięwzięcia i jego upadku. Czy rzeczywiście ostatecznego?

MŁODZI PRZYPOMINAJĄ PRZESZŁOŚĆ

Przed wojną Częstochowa mogła się poszczycić liczną mniejszością żydowską, o której dziś mało kto pamięta. Nie można jednak powiedzieć, aby była całkiem zapomniana. Płytę poświęconą żydowskiej Częstochowie przygotowuje hiphopowa supergrupa Oktokajdeka w składzie: Suspensoryk, SzeF C, UparciuH. W nagraniach zostaną wykorzystane sample z autentycznych nagrań klezmerskich. – Przygotowaliśmy się pod względem teoretycznym, posiedzieliśmy w archiwach, wzięłam nawet kurs jidysz – powiedział nam Suspensoryk. Czekamy na płytę, a potem koncert na Starym Rynku.

W KINACH

Jakiś czas temu wiele kłopotu przyczynił częstochowianom strajk komunikacji miejskiej, co zmusił wielu, aby udali się do pracy na nogach. Film zainspirowany pośrednio tym wydarzeniem nakręcił Szezezan Kaćwaha. „Następny przystanek – koniec trasy” opowiada o grupie desperatów, na czele z romantyczną studentką, którzy porywają autobus MPK i uciekają w stronę Olszusa. Obraz jest, jeśli wierzyć zapowiedziom, piorunującą mieszaną kiną moralnego niepokoju i amerykańskiego filmu sensacyjnego.

GORĄCZKA MAZUTU W 12 OBRAZACH

W Klubogalerii „Mordownia Leonarda” nową ekspozycję zaprezentował Ryszard Lufke. Artyście przyszło się, że odkrył pod naszym miastem ogromne pokłady mazutu, co doprowadziło do przekształcenia Częstochowy w wielkie centrum przemysłowe. Po przebudzeniu postanowił przenieść wizję na płótno, czego skutkiem jest cykl dwunastu prac, bynajmniej nie Herkulesa. Nasz wysłannik nie wiedział, o co chodzi, ale z pewnością obrazy te dobrze oddają ideę poszukiwania czegoś w głębi. No i mamy kolejną teorię, co właściwie mieści się pod Częstochową, jeśli nie jest to druga, znacznie większa.

NOWA GENERACJA

Sztuka rzeźby ciągle się rozwija. Wszyscy znamy rzeźby balansujące, w których specjalizuje się jeden z czołowych

plastyków naszego miasta. Jednak idzie nowe. Kolejną generację w tej dziedzinie sztuki zapoczątkował dr Krzysztof Taktakiszwili: rzeźby skaczące. Zaprojektował on pomnik lososia dla Złotego Potoku, ale ktoś mu wytłumaczył, że pstrąg i losos to nie to samo. Tymczasem na Rynku Wieluńskim stanął ma pomnik księcia Władysława Opolczyka, który w regularnych odstępach czasowych wyskakuje aż na 10 metrów w górę. Czekamy na atestat bezpieczeństwa.

UDNIĄCY SKANDAL

Jeden z najbardziej utalentowanych naszych perkusistów, Jarosław Kukang, w atmosferze skandalu został pozbawiony I nagrody, jaką otrzymał na Festiwalu Bezlitosnego Bębnienia w Tuszcu. Odebrano mu również tytuł Dobosza Roku czasopisma „Membrana”, grandprixs z kilku innych prestiżowych imprez i wycofano propozycję, aby na najbliższych Dniach Częstochowy poprowadził warsztaty dla młodych perkusistów. Przyczyną tak gwałtownego upadku geniusza stało się odkrycie, że wynajmował emeryta, który uderzał za niego w niektóre bębny. Rzeczony emeryt zbiegł i nie udało się go odnaleźć.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne kursy dla młodych twórców. 16 lipca Jan Abercay Glinka z Instytutu Witkacowskiego poprowadzi warsztaty z technik aktorskich przydatnych w graniu sztuk Witkacego, m.in. śpiewania ohydym samczym głosem i wydawania syku złożonego z przeciągłej litery A. Natomiast 28 lipca – zajęcia dla przedpokojowych malarzy w związku z remontem Centrum.

SŁOWNIK NIEZNYCHYCH NASZYCH ARTYSTÓW

Tadeusz Prathke – urodzony 31 kwietnia 1955 r. w Dziadowej Kłodzie. Ukończył technikum rolnicze w Wałcu, pomimo powtarzania klasy. Studiował biologię na Uniwersytecie Adama Kopernika – 1980 praca magisterska „Ujęcie porównawcze funkcjonowania stawów ogonowych u kota domowego i u bydła domowego”. Członek opozycyjnego Towarzystwa „Ż”. Emigrował w 1984 do Kanady, mieszkał w osadzie rybackiej nad Pacyfikiem. W 1986 debiutował tomem przekładów tamtejszego folkloru – „Pieśni poławiaczy humbugów”. Do Polski wrócił w 1991. Pracował w Częstochowskim Przedsiębiorstwie Wodociągowym (do 2002), które było wydawcą jego powieści „...I zmieniła się rzeka w piwo” (1993). Obecnie w MZK (kontroler biletów). Nie publikował w antologiach. Nie ukazały się żadne teksty krytyczne na temat jego twórczości. Żaden z jego utworów nie został zekranizowany. Zona Iryna Ryhorzenko-Prathke, nefrolog. Synowie Pimppek (prokurator) i Sulimir (hodowca kóz). Zainteresowania: alkohol, perkusja, filozofia Oświecenia.



Elżbieta Chodorowska - ur. w 1967 r. Absolwentka Liceum Sztuk Plastycznych i Wychowania Artystycznego w WSP w Częstochowie oraz studiów podyplomowych na ASP w Krakowie (dyplom z malarstwa i tkaniny artystycznej). W czasie pracy w GOK w Mykanowie współorganizowała zloty i pokazy starych motocykli; od dziesięciu lat pracuje w szkolnictwie. Zajmuje się malarstwem, tkaniną i tzw. rzeźbą miękką. Autorka trzydziestu wystaw indywidualnych prezentowanych m.in. w Częstochowie, Krakowie, Warszawie i Wiedniu, uczestniczka kilkudziesięciu wystaw zbiorowych w Polsce i za granicą.

Na okładkach prace (fot. J. Mielczarek):

- I - Motocykle
- II - Rozmowa
- III - Patchwork spod ręki babci Artystki
- IV - Głowy



